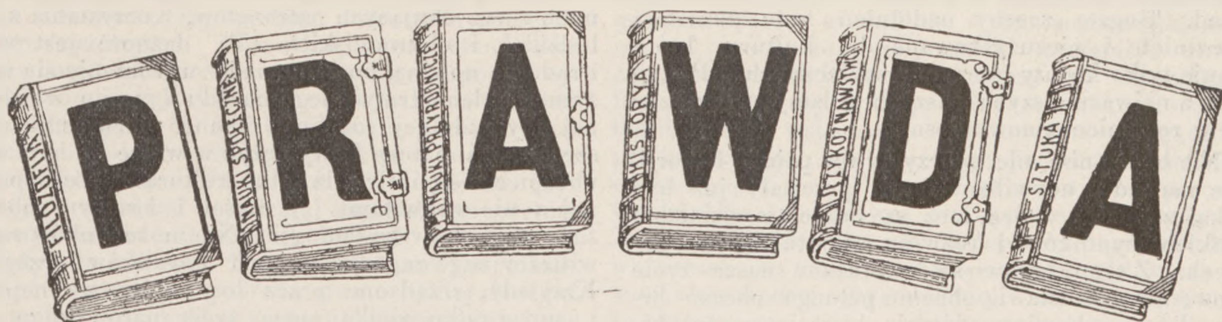
Nr. 18 (1528). Warszawa, 30 kwietnia 1910 r. **Rok XXX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Paradoksy—prawdy.

Nasz lud wiejski został równouprawniony wobec ustaw i uwłaszczony wobec ziemi, ale nie został dotąd ani równouprawniony, ani uwłaszczony wobec kultury. Jest ona dla niego albo niedościgłym zbytkiem, albo zakazanym owocem. Jedni chcą go utrzymać w zupełnej ciemności; inni zapalają mu nikłe kaganki; ci zaś nieliczni, którzyby pragnęli rozwidnić jego duszę wszystkimi, mogącymi do niej przeniknąć promieniami, ogłaszani są za wrogów ojczyzny. Może w żadnym kierunku nie ujawniamy tyle czujności, energji i wytrwania, ile w przyćmiewaniu lub gaszeniu przed nim mocniejszych świateł. Tysiące piersi pracują niezmordowanie nad tym, ażeby je zdmuchnąć. Tej Arimanowej dążności, której szpetną nagość przystrajamy w świątobliwe osłony religji lub barwne szaty patryjotyzmu, nie wyżarł z kamiennej tablicy naszych przykazań czas, nie osłabiły jej najboleśniejsze doświadczenia. Staramy się lub pozwalamy, ażeby ludowi naszemu w nocy jego życia przyświecały błyszczące próchna, iskrzące się robaczki i mdłe gwiazdki, ale słońce nie ma nigdy wejść dla niego. A jednak wejdzie.

Ponieważ całe nasze życie w wyjątkowym położeniu jest paradoksalne, przeto dobywane z niego prawdy mają również pozory paradoksów. Byłoby wszędzie a nie jest u nas przesadą twierdzenie, że dobre szkoły ludowe posiadają dla naszego społeczeństwa daleko większą wartość, niż wyższe uczelnie. Gdy bowiem te ostatnie wypuszczają corocznie kilkuset adwokatów, lekarzy, inżenierów, wogóle specjalistów naukowych, których mamy dosyć lub którzy nie oddziaływają przetwarzająco na swoje otoczenie i zużywają swe siły dla karjery osobistej, pierwsze przygotowują gromadki pionierów kultury, którzy wywierają pobudzający i kształcący wpływ na swe środowisko i wywołują w nim pożądane procesy rozwojowe. Oświecony chłopiec wiejski lub dziewczyna nie poprzestają na ulepszeniu swej pracy gospodarczej i wyciągnięciu zysków materjalnych ze swej wiedzy, lecz stanowią zachęcający przykład, pociągają innych do nauki, udzielają im wskazówek w najważniejszych sprawach, wprowadzają do swej gromady książkę, szlachetniejsze upodobania i doskonalsze wzory, podnoszą jej poziom umysłowy, moralny i ekonomiczny. Wyższe zakłady naukowe podtrzymują u nas tylko migotliwą fosforescencję wierzchnich fal życia społecznego, szkoły ludowe dają temu życiu szerokość i głębię.

Chociaż stanowimy naród antropologiczny i historyczny, nie stanowimy społecznego, czyli takiej zorganizowanej masy ludzkiej, której warstwy, pomimo różnic w oświacie i dobrobycie, posiadają pewien wspólny grunt życia zbiorowego, świadomość równego obywatelstwa i udziału w wytwarzaniu kultury. Największa z tych warstw, dolna łączy się z wyższymi mechanicznie a nie organicznie. Uważamy ją ciągle za poddańczą i obowiązaną słuchać naszych żądań, skazaną na bezwłasnowolność i niedojrzałość. Pogląd ten, będący gdzieindziej skamieniałym przeżytkiem cywilizacji, u nas jest jeszcze uznaną formą myślenia i żywą sprężyną działania. Gdyby nas przed stu laty nie zmumizowano i nie przechowano w tym stanie, w jakim straciliśmy swobodę niezależnego rozwoju, prawdopodobnie wyszlibyśmy z patryarchalno-feudalnego okresu i dotrzymując kroku innym narodom, postępowalibyśmy dziś z nimi w przednich szeregach. Pozostawszy daleko w tyle, wytworzyliśmy sobie osobliwą filozofję maruderów, poczytujących swoje opóźnienie i zastój za odrębność i rodzimość. Dzięki temu my nie rozumiemy ludów, które nas wyprzedziły a one nie rozumieją nas. Każda epoka stawia gromadom społecznym pewne minimalne wymagania i warunki, którym one muszą koniecznie zadośćczynić, jeśli chcą bezpiecznie istnieć. Otóż my nie odpowiadamy tym warunkom i wymaganiom głównie dlatego, że nie jesteśmy społeczeństwem dostatecznie zdemokratyzowanym, a tylko takim przyznawane są dziś prawa do kultury i bytu. Nasz czas więcej od nas żąda pod tym względem, niż my mu dajemy. Jakkolwiek stosunki między państwami reguluje dyplomacja, masy ludowe, już wszędzie dopuszczone do głosu i wpływu, stale oddziaływają na politykę i zawsze zwracają swe sympatje w kierunku powinowactw kulturalnych. Wszystkie zaś narody europejskie są bardziej zdemokratyzo-

wane, niż nasz i wszystkie z tej różnicy czerpią swoją obojętność lub niechęć dla nas. A gdy zewnątrz otacza nas atmosfera lodowa, wewnątrz objawia się niemoc i wyczerpanie z sił żywotnych cienkiej warstewki inteligiencji, której nie wspiera i nie zasila skalisty podkład. Bogate zasoby uzdolnień ludu pozostają nierozwinięte i niezużytkowane dla kultury, która obejmuje tylko kwiaty szczytów społecznych. Przeto jednym z najważniejszych naszych zadań jest stworzyć naród w rozumieniu nowoczesnym.

Nie będąc nim, nie tworzymy też pełnej historji. Dzieje narodów ucywilizowanych przestały już być kroniką rządów i wojen, lecz są odbiciem działania wszystkich czynników i rozwoju wszystkich sił społecznych. Z tego stanowiska rozważane nasze życie zbiorowe nie przedstawia obecnie pełnego obrazu historji. Jest ona bowiem głównie historją rządu, historją niemieckiego przemysłu i żydowskiego handlu z dodatkiem historji literatury i sztuki polskiej. Rdzeń narodu jest martwy a krążenie soków odbywa się w częścią zeschłej i robaczywej a częścią wygładzonej korze pnia. Nasz postęp jest ustawicznym zawieszaniem nowych cacek, świeczek i słodyczy na ściętej w lesie i postawionej w salonie choince. Nasza kultura jest wypolerowanym fornirem, naklejonym cieniutką warstewką na zwyczajnym drzewie. Czasem błyszczy, ale zawsze jest płytka. Słowem, my nie mamy całkowitej historji współczesnej, bo nie wyrabiamy dla niej materjału, który moglibyśmy wyrobić tylko łącznie z oświeconym ludem. Przyzwyczajeni od wieków do skupiania życia kulturalnego tylko w jednej sferze społecznej i nadawania wartości tylko zdobyczom w niej osiągniętym, zatraciliśmy poczucie istotnej wagi zdarzeń, trwałości czynów i ich widoku w perspektywie dziejowej. Zdaje nam się, że pewna suma powieści, poematów, rzeźb i obrazów wypełnia ramy kultury, że nasze popisy retoryczne i sejmikowania, kłótnie dziennikarskie i edykty wydawane dla przyszłości, zgiełk głodnych i podrażnionych ambicji, że ta wrzawa i te niteczki są mocnym wątkiem historji. Tymczasem jest to pajęczyna, która trzyma się zaledwie dnia lub miesiąca, tuman przelatującego kurzu, opadanie i wysychanie rosy—coś, co przemija i śladu po sobie nie zostawia. Odejdźmy myślą od obecnej chwili w przyszłość na dłuższy odstęp czasu — co w niej zobaczymy? Twory artyzmu na wierzchołkach społecznych a pod nimi osad prac i zabiegów codziennych, rozpostarty w ciemnej pustce. Jedynym faktem społecznym doniosłego znaczenia obecnej doby jest powolne i leniwe, ale coraz mocniejsze falowanie ludu wiejskiego, poruszonego pragnieniem przebicia się przez mroki ciemnoty umysłowej i wyjścia na światło, zdjęcia z siebie powijaków niemowlęctwa, podniesienia się na dostępny poziom kultury, wyzwolenia się z pod natrętnych i wyzyskujących patronatów, korzystania z praw ludzkich i obywatelskich. Ta dążność jest wielką i radosną nowiną, bo zapowiada utworzenie się nowożytnego, demokratycznego narodu a w nim wewnętrznej siły, zdolnej rozwinąć cenne pierwiastki naszej szczepowej natury i zwyciężyć w walce o byt, który ubezpiecza się i utrwala tylko kulturą całości społecznej a nie wykwitami jej części i żwawym obrotem śmig wiatraków frazeologji. Nie można ubóstwa cywilizacyjnego zagadać a oporu warunków przegadać. Krzywdy, zrządzone przez los, dadzą się naprawić i usunąć tylko wielką mocą życia narodowego, parciem wszechstronnego rozwoju. Trzeba martwe morze ludowe z błyszczącą pianą na powierzchni ożywić i przeświecić aż do dna. Nie dokonają tego lampki, przytwierdzone do łódek łowców ryb w mętnej wodzie, nie dokonają latarnie partyjne, nie dokona żaden monopol przewodnictwa, dokonają tego tylko liczne ogniska oświaty, rozniecane bezinteresownie i podsycane troskliwie przez wszystkie dobre wole, przez wszystkie gorące serca i przez wszystkie jasne umysły. Szkół, światła dla ludu! — to nie jest okrzyk deklamacji, który zapada bez echa w głuchą teraźniejszość, lecz jest to donośny głos konieczności historycznej, głos wiary w zmartwychwstanie i odrodzenie, który biegnie w przyszłość i długo w niej słyszany będzie. Nawet nie uświadamiając sobie tego należycie, czujemy, że musimy, a tylko tym sposobem możemy stworzyć nowoczesny naród, którego dotąd niema; tylko wtedy zaczniemy snuć pełne dzieje kultury narodowej, których dotąd nie posiadamy. Wyznania te brzmią jak paradoksy a są prawdami.

A. Świętochowski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Asquith zagroził, iż rząd od Korony zażąda rękojmi co do zapewnienia sprawności prawodawczej Izbie gmin, innymi słowy będzie domagał się przedsiębrania środków, któreby zniewoliły lordów do większej względności. Chodzi tu o wykorzystanie przez

25)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

XXI.

Mąż mój oczekiwał mnie na stacji dziwnie zmieszany: w drodze do domu zajmował się jedynie dzieckiem. W domu zdziwiło mnie trwożliwe spojrzenie służącej na powitanie.

Oczekiwały na nas bratowa i teściowa; musiałam przybrać wyraz chłodnej grzeczności, jaką zwykle otaczałam je, musiałam być obecną przy owacjach, jakie robiono dziecku znużonemu i niechętnemu. Przyglądałam się memu mężowi; ze zdumieniem spostrzegałam jego nagłe nieprawdopodobne wprost postarzenie się; jego pobladła, zmięta twarz nosiła ślady jakiejś wewnętrznej choroby. Czyż możliwe, by zaledwie kilka tygodni upłynęło od dnia naszego rozstania się? Zdawało mi się, że lata minęły, zdawało mi się nawet, że nigdy nie należałam do niego, tak był mi dalekim, obcym.

Gdy pozostaliśmy sami, opowiedział mi o swej niedyspozycji w czasie mej nieobecności. Mówił dużo i niejasno. Była to drobnostka, recydywa, mówił, pewnej choroby, której nabawił się podczas służby w wojsku... Coś zabłysło w mym mózgu, jakby wspomnienie słów, słyszanych dawno. Kiedy? w mieście od doktorki? Głupstwo, powtarzał, rzecz bez żadnych konsekwencji.

Przez kilka dni musiał pozostawać zupełnie bezczynnym; teraz był już wyleczonym, lecz doktór radził, by jeszcze kilka dni nie wychodził z domu; było to jednakże niemożliwym.

Opowiadanie przeplatał tłumionymi przekleństwami: zwykły wyraz jego utyskiwań. Słuchałam milcząc i nie byłam w stanie zdać sobie dokładnie sprawy z rzeczywistości. On podniósł się, wziął mnie

Koronę przysługującego jej prawa mianowania nowych parów. Balfour już z góry usiłuje niechętnie usposobić opinję publiczną przeciw tej rękojmi. Oświadczył, iż rękojmia owa będzie polegała na mianowaniu członkami Izby wyższej 500 osób „niegodnych tego zaszczytu". Naturalna, że ze stanowiska interesów arystokracji rodowej kto nie ma pocztu ojców i dziadów sięgających aż do czasów króla Ćwieczka, nie zasługuje na to, ażeby zasiadał w prześwietnym komitecie obstrukcji społecznej, jakim w istocie swojej jest zaśniedziała Izba lordów. Ale gabinet obecny, przejęty zasadami lojalizmu angielskiego, nie ma innego wyjścia nad mianowanie nowych dostojników: musi dążyć do zasilenia Izby lordów nowym orszakiem parów, ażeby za pośrednictwem takiej dźwigni podważyć jej obstrukcję, a w ciągu dalszym może i zasady same. Cofnąć się jest niepodobieństwem, bo rząd jest w położeniu Kozaka, co złapał był Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma. Tymi Tatarzynami co nie pozwolą mu zejść z drogi i zdławić sprawy rozpoczętej, są z jednej strony przedstawiciele partji robotniczej, którzy acz nazbyt często dają się porwać oportunizmowi, przecież w kwestji synekury politycznej lordów są nieubłagani, oraz posłowie irlandzcy, dobrze pomnący, iż Izba lordów zawsze była przytułkiem nieprzejednanych przeciwników Home-rule'a. Dla Asquitha i jego drużyny partyjnej, która rozporządza większością w Izbie gmin tylko dzięki poparciu tych dwuch grup, postawa zaczepna jest koniecznością. I gdyby nawet Korona odmówiła rękojmi wymaganej, a rzecz doszła de rozwiązania Izby gmin, lordowie odwloką rzecz jedynie: sama kampanja wyborcza odbywać się będzie w każdym razie pod hasłem poważniejszej przeróbki dziedzicznego komitetu rodów arystokratycznych. Będzie to oddanie samej sprawy jak gdyby pod referendum publiczne, a przecież jak sowy, tak i lordowie niezbyt ciągną ku światłu i jawności. W oczekiwaniu możliwości przyszłych, obrońcy synekury arystokratycznej wprawiają w ruch środki wypróbowane. Już dzisiaj odwołują się do uczuć patryjotycznych ludu angielskiego, wykazując, iż „inorodcy" angielscy, t. j. Irlandczycy, są właściwie panami kraju i ku jego zgubie domagają się zniszczenia tej opoki statecznej bytu narodowego, tego naczynia wszelakiej mądrości, jakim jest Izba wyższa. Tam, na widnokręgu, już widnieją zarysy Home-rule'a, rokosz kresów, utracenie „stanu posiadania", Anglikom przynależnego... Wszelcy obrońcy synekur posługują się tą samą frazeologją!

Lordowie się krzątają. Takiej troski nie zaznali panowie pruscy. Tych nie wzruszą zarzuty, ani nie wyprowadza z równowagi szemranie „motłochu", co targa wszelkie prawa boskie, urządzając tłumne zbiegowiska przeciw szwindlowi wyborczemu trójklasowemu. I po co! Już sejm pruski wystąpił w obronie stanu posiadania junkrów, mniejsza czy obrządku reformowanego, czy hołdujących zasadom kościoła katolickiego, oraz wstecznego możnowładztwa finansowo-przemysłowego, występującego pod sztandarem narodowo-liberalnym. Pozostaje im jedynie przypieczętowanie uchwały sejmowej swoją powagą prawodawczą. Zasada trójklasowości jak nierządnica pojawi się z nową szminką na twarzy. Ale — ale minęły czasy dawne stateczności obywatelskiej. Tłumy zrozumiały, że rozszerzenie prawa wyborczego jest nie zadośćuczynieniem oderwanym zasadom sprawiedliwości społecznej, jeno bardzo poważną placówką w zakresie obrony interesów codziennych. Z dniem wcielenia w życie nowej zasady rozpocznie się nowa kampanja agitacyjna.

Rozpocznie się zresztą nietylko w monarchji junkrów.

Bo i z Węgier dochodzą odgłosy, że i w tym państwie bogobojności wyborczej coś psuć się zaczęło. Kristoffy, jeden z byłych ministrów, wygłosił był w Aradzie wielką mowę polityczną, która na pozór brzmi osobliwie, jeśli zważymy, z czyich ust padło tam hasło równouprawnienia wyborczego. „Powszechne a równe prawo wyborcze nietylko osłabi, ale nawet zupełnie usunie walki narodowościowe!... Sejm nie jest zdolny do pracy, trzeba ażeby lud i robotnicy mogli mieć również prawo głosu i pospołu pracować nad wspólnym dobrem". Liberalizm węgierski po niewczasie przypomniał sobie o równym prawie wyborczym — przypomniał zdjęty obawą utracenia dotychczasowego stanowiska przodującego, po które śmiałą ręką sięgać zaczyna nieprzejednana koalicja narodowo-demokratyczna węgierska. W obliczu tej zwartej ławicy drobnomieszczaństwa pozostało jedno: odwołać się do robotników i do ciemiężonych ludów słowiańskich! W Niemczech przeciw przywilejowi wyborczemu występują pokrzywdzeni; na Węgrzech ci, którzy dotychczas popierali ów przywilej, póki z niego jedni ciągnęli korzyści...

Mowa Kristoffy'go jest jednym z pierwszych zwiastunów bliskiej może nowej kampanji wyborczej na Węgrzech. We Francji ta kampanja jest na ukończeniu. W chwili gdy piszemy, ostateczne wyniki

---

w ramiona z bojaźnią, szacunkiem prawie, czego nigdy przedtym nie zauważyłam w nim, szukał ust mych, instynktownie opuściłam głowę; złożył usta na mym czole szepcząc: „Jesteś dobra... bardzo dobra .. nie wart jestem ciebie"...

W nocy pożądanie jego dyszało wkoło mego ciała... Dawno słyszane zdanie, wspomnienie gorzkiego uśmiechu doktorki, pewnego dnia w Rzymie przeszyły mózg mój. I zbudził się we mnie nieprzezwyciężony, dziki instynkt obrony.

Po paru chwilach zrezygnował; ja pozostawałam drżąca, jakgdybym wyszła była z kąpieli ogniowej.

Nazajutrz przyszedł doktór z poblizkiego miasteczka: radził wypoczynek, nieustanną kurację, a odchodząc, ogarnął mnie długim dwuznacznym spojrzeniem.

I służąca dziwnie patrzała na mnie, a właściwie dziwnie odrywała swe oczy od moich. W końcu wyrwało jej się, że pan udał się w kilka dni po mym wyjeździe do miasta a po powrocie zachorował. Choć nie pytałam o nic, dodała:

„Niech mi pani nie każe mówić więcej!"

Nie było potrzeby. Wyobraźnia rysowała mi wstrętną scenę: człowiek, w chwili podniecenia pukający do ohydnych drzwi... Widziałam wstyd jego przed domownikami, jego postanowienie ukrycia przede mną wszystkiego, jego wybiegi... Co w tym wszystkim mogło zdziwić mnie? Nic: jakgdyby portret, przy wykonywaniu którego byłam ciągle, wreszcie ukazał mi się skończonym, doskonałym.

Nie powiedziałam mu nic. Z zaciśniętych mych ust nie mogło wydobyć się słowo, gdybym była chciała nawet. Kazałam przygotować sobie posłanie w pokoju, graniczącym z pokojem dziecka i wieczorem, nim wyszedł na swój zwykły przegląd fabryki, uprzedziłam go. Zbladł nieco, lecz może był przygotowany na to i okazywał, że nie przywiązuje do tego żadnej wagi: kwestja dni, wybełkotał.

Ogarniał mnie wstręt nieprzezwyciężony za każdym razem, gdy wracał do domu. On wydawał się udręczoną ofiarą i udawał, że nie spostrzega we mnie żadnych zmian. Lubił słuchać porad swej siostry i wykonywał je skrupulatnie. I albo żalił się na choroby, które godzą w tych, którzy najmniej spodziewają się tego, albo wybuchał przeciw socjalistom, starającym się zorganizować strajk.

Nieraz, gdy spostrzegał mnie siedzącą przy małym z czołem opartym o jego główkę, uważnie czyta-

głosowania nie są jeszcze wiadome: w 189 okręgach odbędą się wybory ściślejsze. Bądź co bądź, z dokonanych 296 wyborów oraz z ułożenia się stosunków tam gdzie trzeba będzie przeprowadzić wybory ściślejsze, daje się spostrzec przesunięcie punktu ciężkości w Izbie od prawicy ku lewicy, t. j. ku radykalistom i socjalistom. Gabinet Brianda będzie rozporządzał w niej większością, która wzrośnie w porównaniu do dotychczasowej o jakieś 30 głosów. Przebieg sam głosowania nie grzeszył spokojem. W Chambord tłum rozbił urnę wyborczą, a nawet podpalił ratusz, w okręgu Cognac zastrzelono burmistrza, który przewodniczył w komisji wyborczej. Szczegółów ani powodów takiego roznamiętnienia nie możemy zrozumieć z dotychczasowych informacji, niezmiernie szczupłych. Jedynie awantura, wywołana przez anarchistów z Montmartre, którzy postrzelili kandydata socjalistycznego Rouaneta i zniszczyli redakcję *Humanité*, nie wymaga komentarzy: to zwolennicy bojkotu politycznego dokumentowali w taki sposób swoją dojrzałość i wyrobienie społeczne. Ongi wybryki anarchistów znajdowały poparcie u prefekta Paryża, później ze strony arystokratek histerycznych. Kto dzisiaj ukrywa się za tymi gromadami i z kogo się one składały? Czy tylko działali idejowcy bojkotu, czy może wyruszyli i „apaszowie", ten posterunek przedni paryskiego Lumpen-proletarjatu?...

A z wiosną ruchawki potężnieją. Albanja nie schodzi z łamów prasy codziennej. Podobno podsyca wrzenie tamtejsze zdetronizowany sułtan. Ręka ta, która jedynie zdolną jest skompromitować ruchawkę albańską, występującą w obronie haseł poważniejszych. Natomiast winniśmy zwrócić honor Rooseveltowi: na chrzestnego ojca idei rozbrojenia bynajmniej nie zapraszał Wilhelma II, nawet wogóle nikogo nie zamierza prosić, bo uważa w dzisiejszym stanie rzeczy taki pomysł za mrzonkę. Dowiódł więc, że ma głowę na karku nie od parady i rozumem swoim zasługuje na godność praktycznego prezydenta Rzeczypospolitej praktycznej. O! *on* nie pójdzie jak marzyciele...

Jerzy Sorel jako teoretyk syndykalizmu.

(Dokończenie).

Tyrady Sorela przeciwko państwu, parlamentaryzmowi, polityce i t. p. są raczej stekiem aforyzmów i gwałtownych wykrzykników — niż ścisłym rozumowaniem. Zresztą w sprawach tych teoretyk syndykalizmu francuskiego nie powiedział nic nowego w stosunku do tego, co pisali przed nim anarchiści.

Z pośród specjalnie sorelowskich poglądów należy rozpatrzyć jego teorje dotyczące reform społecznych, gwałtu i strejku powszechnego. Ze wszystkiego, co pisał o zagadnieniach socjalnych są one najbardziej „oryginalne" i charakterystyczne...

Sorel nie ma dość słów pogardy dla demokracji, dla dążności reformatorskich za pomocą państwa. Pomijam tu wszystko, co mówi o tych sprawach, powtarzając za innymi. Zatrzymam się tylko na jego własnych poglądach.

Według niego, kapitalizm wtedy tylko rozwijać się może szybko — wzmagając siły produkcyjne, kiedy burżuazja, pochwycona w wir walki konkurencyjnej, myśli jedynie o zwiększeniu swych zysków, jest energiczna i zdolna do walki życiowej i poświęca jej wszystkie swe siły. Kiedy zaś burżuazja, poddając się propagandzie moralno-humanitarnej, staje się umiarkowana i usiłuje złagodzić socjalne niedomagania związane z produkcją; kiedy zrywa z barbarzyństwem swych przodków — wówczas część energji, którą byłaby zużyła na rozwój kapitalizmu, wydaje na jego osłabienie. Wtedy w rozwój dziejowy wplata się przypadkowość i przyszłość ludzkości zarysowuje się sposób nieokreślony.[1] Do tryumfu socjalizmu najlepszy rozwój kapitalizmu jest koniecznością.

Sorel zwalcza więc reformy, gdyż mają niby osłabiać energję burżuazji i walkę klasową, usypiając czujność proletarjatu.

Przedewszystkim uderza w rozumowaniu teoretyka syndykalizmu zupełna nieznajomość faktów. Gdzież bowiem ujawnia się wśród burżuazji przemysłowej osłabienie energji z powodów moralno-humanitarnych? Nawet we Francji, gdzie burżuazja jest stosunkowo wrażliwszą niż gdzieindziej, gdzie poddaje się ła-

[1]) Patrz jego rozmyślania o gwałcie. Cytuję według rosyjskiego wydania. „Razmyszlenja o nasilji" St. 25.

jącą mu jakąś powiastkę, lub objaśniającą rysunek jakiś, wykrzywiał pogardliwie usta i nie hamował swych kpin. Czy chciałam zrobić uczonego i z tego malca?

Dziecko uczyło się chętnie i zażyłość naszych serc zdawała się wzrastać wraz z rozwijaniem się jego inteligiencji, wraz z pierwszymi wrażeniami jego myśli. Podczas, gdy on przy stoliku odrabiał swe zadania, ja pisałam lub czytałam, przerywając jedynie po to, by odpowiadać na jego pytania. Mijały chwile niewypowiedzianego pokoju i słodyczy, i gdy odbiegał, by bawić się, przenikał mnie chłód lodowy.

W owych dniach z dziwną rozkoszą przerzucałam kartki *Pamiętnika Amiela.* Widziadła zapełniały mój gabinet, ukazywały mi się między krzewami w ogrodzie, na zaludnionych ulicach, nad brzegiem morza: matka moja, młoda, nad kołyską mego rodzeństwa, ulegająca swemu strasznemu przeznaczeniu, ten filozof chory, zgarbiony przy swym biurku, wypowiadający swój słodki pesymizm, utkany z łez i jęków zgłuszanych, wreszcie znakomity nasz pisarz, ideał mej młodości, któremu niedawno umarł syn dwudziestoletni, ofiara może niezgody rodziców. Krwawe symbole nicości poświęcania się, straszne przykłady kary, która nie mija żadnego unicestwienia własnego sumienia.

Czyż ja nie byłam jednym z tych sumień? Nie wystarczało mi rozumowanie, ani wewnętrzne przekonanie. Nie przestawałam należeć do człowieka, którym pogardzałam i który nie kochał mnie: wobec świata nosiłam maskę zadowolonej żony, uznając poniekąd nikczemne służalstwo, uświęcając potworne kłamstwo. Dla mego syna, by nie być pozbawioną dziecka.

A teraz ostatnia nikczemność, która tyle kobiet zwyciężyła, ciągnęła mnie ku sobie: myślałam o śmierci jako o wyzwoleniu; zgodziłabym się opuścić mego syna — by umrzeć, by żyć — nie miałam odwagi stracić go.

Chwilami ogarniało mnie szaleństwo. Wieczorem po cierpliwym zniesieniu odwiedzin rodziny, zostając sama z człowiekiem, który upadlał mnie swymi spojrzeniami i usiłowaniami pojednania się, wpadałam w szał, rzucając gryzące słowa przeciw jego użalaniom się na kryzys przemysłowy i na groźną postawę robotników.

Głos mój stawał się ostry, traciłam prawie świadomość słów mych. Nagle nieoczekiwanie przerywał mi głosik: „Mamo!" a po chwili: „Chodź mamo!"

Otrząsałam się wtedy, szłam do ciemnego pokoju, w którym leżał mój mały. Spostrzegał mój cień

twiej kierunkom „idealistycznym" — zaledwie po długich walkach, pod silnym naciskiem z dołu i konieczności państwowych godzi się na reformy społeczne. Dowodem tego jest historja reform społecznych we Francji z lat ostatnich.

Następnie Sorel przeocza zupełnie ten fakt, że reformy, których domagają się socjaliści za pomocą państwa, nie mają nic wspólnego z propagandą maralną wśród burżuazji, lecz są wynikiem walki z dołu. Natomiast w łonie samej burżuazji powstają kierunki reformatorsko-humanitarne, domagające się reform w granicach obecnego ustroju w znacznym stopniu celem uniknięcia katastrofy. Kierunkiem takim jest we Francji np. solidaryzm, przeciwstawiający walce klas ich współdziałanie i domagający się bardzo wielu reform żądanych przez socjalistów w programie minimum.

Błędem kardynalnym Sorela jest twierdzenie zupełnie gołosłowne, że reformy społeczne osłabiają energję burżuazji, utrudniając rozwój kapitalizmu. Są to poglądy naiwne nie oparte na żadnych faktach. W rzeczywistości jest nawet wprost przeciwnie. Takie reformy jak skrócenie dnia roboczego i polepszenie wogóle warunków pracy wywołują u kapitalistów usiłowanie udoskonalenia w technice produkcji, celem zmniejszenia jej kosztów. Właśnie brak kontroli państwowej nad wyzyskiem robotników, dając możność fabrykantom osiągnięcia wysokich zysków przy starych środkach technicznych, nie pobudza ich wcale do dalszych udoskonaleń w sposobach produkcji. Nakoniec rozumowanie Sorela jest błędne i szkodliwe, gdyż przeocza olbrzymie straty, jakie ponosi proletarjat wówczas, kiedy praca nie jest regulowana przez państwo, kiedy okropny wyzysk powoduje degeneracje całych pokoleń.

Robotnicy nie mogą ciągle i wszędzie robić strejków, gdyż to by ich naraziło na nieobliczone straty.

Dlatego też prawodawstwo fabryczne jest konieczne i dobroczynne.

Sorel robi ten sam błąd co Spencer w słynnej swej pracy p. t. „Jednostka wobec państwa".

Nie można dla wątpliwych bardzo rezultatów w odległej przyszłości wyniknąć mających niby z walki nie krępowanej ograniczeniami prawnymi, pozostawiającej przy życiu jakoby tylko silnych — oddawać w ofierze mnóstwo ludzi w szeregu pokoleń na łup wyzysku. Klasa robotnicza jako całość nie może ciągle interwenjować w walce codziennej kapitału z pracą.

Gwałt jako środek walki proletarjatu z burżuazją ma dla Sorela inne zupełnie znaczenie niż dla rewolucjonistów wogóle. Dla tych jest albo środkiem zastraszającym żywioły konserwatywne, reakcyjne i dzierżące władzę, celem zmuszenia ich do ustępstw; albo dezorganizującym je całkowicie i ułatwiającym zdobycie przewagi przedstawicielom nowych prądów. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku gwałt ma być środkiem przyspieszającym reformy, albo przewroty społeczne.

Syndykaliści — robotnicy zapomocą gwałtu chcą wymusić na fabrykantach bezpośrednio ustępstwa, dotyczące warunków pracy, uie uciekając się do pomocy państwa; również zapomocą gwałtu podczas strejku powszechnego chcą wydrzeć klasom posiadającym narzędzia pracy i oddać je proletarjatowi.

Dla Sorela gwałt nie jest środkiem praktycznym walki, lecz czysto pedagogicznym, który ma na celu: rozgniewanie burżuazji i uczynienie jej niesklonną do ustępstw dla robotników, zachęcenia jej natomiast do walki i wzmocnienia kapitalizmu; pogłębienie antagonizmów klasowych — ochrania robotników przed wpływem na nich burżuazji i popycha ich do bezwzględnej walki klasowej.

Sorelowi nie chodzi wcale o przyspieszenie przewrotu społecznego, przeciwnie boi się go raczej i unika wszelkich dyskusji na temat, co robić ma proletarjat po zwycięstwie. Dla niego najważniejszą jest rzeczą, żeby kapitalizm rozwijał się ciągle i żeby walka klasowa była brutalna i uniemożliwiła kompromis. [2])

Niezmiernie charakterystyczny jest pogląd Sorela na strejk powszechny...

Dla syndykalistów-proletarjuszy jest on środkiem przeprowadzenia likwidacji obecnego ustroju; dla Sorela jest przedewszystkim pożytecznym, a nawet niezbędnym mytem społecznym, urabiającym w sposób dodatni świadomość robotników i mającym dlatego ogromną doniosłość pedagogiczną. Sorel mówi wprost, iż może tego strejku powszechnego, o którym marzą syndykaliści, nigdy nie będzie, ale rzecz to podrzędna, ważną jest natomiast rzeczą, że jako idea zawiera w sobie to wszystko, co wzmocnić może ruch robotniczy, opierając go na walce klasowej i solidarności proletarjackiej. Jest to cynizm polityczny.

---

[2]) **Rozumowania powyższe rozproszone są w całej cytowanej pracy Sorela i zwłaszcza w III jej rozdziale.**

---

na drzwiach, wzywał mnie ciszej: „Mamo!" I gdy czuł, że jestem przy łóżeczku, wyciągał ramiona, obejmował mnie nimi za szyję, przyciągał mą głowę do swojej. W milczeniu przesuwał rączkę po mych powiekach, po policzkach; czułam drżenie jego ciepłych paluszków. Co chciała droga istota? Upewnić się, że nie płakałam, że ojciec nie wywołał mych łez. Rzucałam się na łóżeczko jego i łkanie, co rozdzierało me piersi, tłumiłam w poduszce, słysząc znowu drżące słowo „mamo!"—i twarz moja była mokra od łez moich i jego... W duszy błagałam: Przebaczenia, przebaczenia, dziecko!

I długo trwałam pochylona nad łóżeczkiem, oczekując dla biednej istoty miłosiernego snu, dla siebie niemocy po kryzysie.

Pewnego dnia nadeszła depesza, oznajmiająca mi groźny stan mego stryja z Turynu, najstarszego brata mego ojca. Okazywał mi zawsze ogromne przywiązanie i często obdarowywał mnie upominkami, a nawet pieniędzmi, szczególniej w krytycznym okresie w Rzymie. Był on przeciwieństwem ojca mego; miał wszelkie cechy pracowitego mieszczanina, zapatrywania dość ciasne; był niewolnikiem zwyczajów, zadowolony najbardziej z siebie, lecz niezwykle zacny i dobry. Tyle wspomnień mego dzieciństwa łączyło się z nim! I mimo głębokiej różnicy poglądów i zasad kochałam go i byłam zawsze wzruszoną, widząc tego wysokiego, czerstwego i mrukliwego starca, którego otaczało zawsze ze dwudziestu bratanków i bratanic.

Czy zdążyłabym zobaczyć go raz ostatni? Poznałby mnie?

Mąż mój po udanym wahaniu wysłał mnie tegoż wieczora, dając mi wskazówki, jak mam się zachowywać w stosunku do bogatego wuja i krewnych, nie oszczędzając mi poleceń, mrożących mnie. Całe życie więc tak?

Rano, po nieskończenie długiej nocnej podróży, zastałam na stacji oczekującego mnie ojca wraz z jedną z jego sióstr.

Pytali o me zdrowie. Ojciec narzekał na koleje, ciotka wyrzucała mu, że nie pocałował mnie jeszcze... Od tylu lat nie czułam ramion ojcowskich wkoło mej szyi!

Stryj umarł w nocy.

(D. C. N.)

Sorel wogóle przywiązuje wielką wagę do mytów społecznych w rozwoju ludzkości.

Sorel często przeprowadza analogję między chrześcijaństwem a socjalizmem, nap. sądzi, że gdyby socjaliści zdobyli władzę polityczną w państwie, w gruncie rzeczy nic by się nie zmieniło w stosunkach socjalnych, jak fakt, że chrześcijaństwo stało się religią państwową w rzymskim imperjum, nie spowodował żadnych zasadniczych przeobrażeń społecznych.

Przeocza różnice pierwszorzędnej wagi między chrześcijaństwem a socjalizmem. Chrześcijaństwo nie miało żadnego określonego programu społecznego, nie dążyło też do przewrotu w istniejących stosunka; żądało złagodzenia obyczajów, miłości bliźniego i innych pięknych rzeczy, część jego zwolenników praktykowała nawet komunizm w małych kołach ascetycznych.

Ideały chrześcijaństwa miały być zrealizowane nie na tym, lecz na tamtym świecie. Chrystus uczył, żeby oddawano Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie.

W przeciwstawieniu do chrześcijaństwa, socjalizm chce realizować swe ideały na ziemi; posiada też wykończony program reorganizacji społeczeństwa przez stworzenie nowych zupełnie instytucji społecznych. Socjalizm organizuje masy zainteresowane w przewrocie społecznym. Dojście socjalistów do władzy, po szeregu walk, po uświadomieniu licznych mas robotniczych byłoby punktem wyjścia reorganizacji społecznej.

Można być przeciwnikiem albo zwolennikiem socjalizmu, nie potrzeba jednak twierdzić, że dojście do władzy jego zwolenników nicby nie zmieniło w stosunkach społecznych.

Sorel tego wszystkiego nie uwzględnia, lecz opanowany manją nienawiści do państwa wogóle i partji socjalistycznych, chwyta lada sposobność, lada analogję fałszywą, żeby dowieść, że zdobycie władzy przez socjalistów nic nie zmieni.

Chce proletarjat odosobnić od reszty społeczeństwa i znowu dla uzasadnienia tego twierdzenia powołuje się na analogję z chrześcijaństwem. Dopóki pierwsi chrześcijanie przeciwstawiali się ogółowi w idejach, zwyczajach i t. p., byli potęgą moralną, później, kiedy zmieszali się ze społeczeństwem, ulegli korupcji.

Przeocza tu znowu ten fakt, że z chrześcijanami tak być musiało, gdyż nie mając żadnego programu przeobrażeń społecznych, mogli wyodrębniać się od ogółu, póki stanowili małą garstkę wybranych, i to tylko uciekając od życia społecznego. Z chwilą jednak, kiedy masy przyjęły nowe wierzenia, kiedy nie mogły uciekać od życia, wszystko się zmieniło: formy społeczne, nie zwalczane zasadniczo przez chrześcijan, przystosowały do siebie ich etykę, ideologję i obyczaje. Niema tu więc i być nie może żadnej analogji z socjalizmem. Sorel poświęcił specjalną pracę chrześcijaństwu, p. t. „La ruine du monde antique" oraz streścił w trzech tomach dzieła Renana.

Widząc, że rozwój potężnych organizacji przedsiębiorców osłabia u robotników i wogóle socjalistów wiarę w to, że sama walka ekonomiczna doprowadzić może do zwycięztwa proletarjatu, Sorel, wbrew najoczywistszym faktom twierdzi, że kapitaliści nie są zdolni do organizacji, i że obawa ich przed wspólnym niebezpieczeństwem ze strony klasy robotniczej nie może złączyć ich w sposób trwały. [3])

Przeocza zupełnie wzorową organizację odporno-zaczepną w stosunku do robotników przemysłowców niemieckich, szwedzkich i innych. Nie uwzględnia despotycznego wpływu w Stanach Zjednoczonych trustów i wielu innych analogicznych faktów. W innym ustępie tej samej pracy mówi znowu coś innego. [4])

Nie mogę dla braku miejsca iść śladem teoretyka francuskiego syndykalizmu i zbijać wszystkich jego wniosków fałszywych, na podstawach błędnych analogji albo niesprawdzonych faktów opartych. To jednak, co powiedziałem wyżej, wystarcza zupełnie, żeby czytelnicy wyrobili sobie dokładne pojęcie o „metodzie" i „naukowości" Sorela. Jest on dekadentem socjalizmu, lubującym się w ideach mglistych, w paradoksach.

Jego teorja „mytów społecznych", która się tak podoba niektórym, jest koncepcją wysoce naiwną. Istotnie, powoływać dziś do życia różne „myty", licząc na to, że nie będą podlegały analizie, że uzdrowią ludzkość — jest to nie liczyć się z rzeczywistością.

Były okresy w życiu ludzkości, w których różne „myty" miały olbrzymią władzę nad duszami, a jednak siłą rzeczy, przez rozwój umysłowy i moralny ludzi traciły moc. Zapewne i dziś jeszcze „myty" są potężne, siła ich jednak na ogół, nie mówiąc o chwilowych zwrotach reakcyjnych słabnie.

Czy „myty społeczne" zalecane przez Sorela są pożyteczne? Sądzę że nie. Ślepa wiara w strajk powszechny jako uniwersalny środek wyzwolenia ludzkości istnieć może w umysłach tylko kosztem ich niedorozwoju. Zresztą takie „myty" nie mogą się dziś długo utrzymywać, niepowodzenia tych, którzy się nimi karmią, spowodują tylko rozczarowania tym cięższe, im wiara w nie poprzednio była silniejsza.

Syndykalizm rewolucyjny we Francji jest wynikiem kompromisu między czystym anarchizmem „poszukującym mas", a socjalizmem rozczarowym do jałowej przez czas jakiś pracy parlamentarnej.

Obecnie syndykalizm jest ruchem chaotycznym, destrukcyjnym, obiecującym demagogicznie masom złote góry i nie mogącym ziścić tych obietnic. Ruchem, przez swój krańcowy antypatryjotyzm i antymilitaryzm wywołującym sztucznie reakcję we Francji. Oczywiście parlamentaryzm jest mechanizmem, który żeby dobrze funkcjonował, musi być z zewnątrz wprowadzony w ruch. Dla robotników stworzenie potężnej siły poza parlamentem, w związkach zawodowych i giełdach pracy, jest pożyteczne. Niestety, taktyka syndykalistów jest z góry błędna i utrudnia tylko reformy. Obecnie np. syndykaliści zwalczają rządowy projekt ubezpieczenia robotników.

Powodzenie Sorela wśród pewnych kół inteligencji, w dobie obecnej jest poszczególnym objawem chwilowego zwrotu umysłów ku rzeczom nieokreślonym, frazeologji pseudo-idealistycznej, mistycznej i etycznej.

Sorel nie wykrył ani jednej nowej prawdy, nie ugruntował nawet żadnej idei rzuconej ogólnikowo przez kogoś innego. Jego „nauka" jest rozwlekłym powtarzaniem cudzych myśli powiązanych często mechanicznie. Niepomierna arogancja w połączeniu z równie niepomierną ignorancją w wielu dziedzinach złożyły się na wytworzenie tego proroka współczesnego syndykalizmu rewolucyjnego.

Jego pojmowanie „klasowości" jest karykaturą tego, co o przedmiocie tym pisali inni przed nim lepiej i głębiej. Walka klas przybiera u Sorela formę izolacji klas i wyłączności klasowej.

Ludwik Kulczycki.

---

[3]) „Socjalnyje oczerki sowremiennoj ekonomji". St. 331 wyd. ros. Sorela.

[4]) „Socjalnyje oczerki sowremiennoj ekonomji". St. 299 i 300 wyd. ros. Sorela.

Z dziedziny techniki.

Obecny stan lotnictwa.

Podbój oceanu powietrznego, do którego człowiek dążył od wieków, można uważać za ostatecznie dokonany; balony ze sterem dokonały już całego szeregu godnych uwagi podróży, a aeroplany z dniem każdym robią takie postępy, że w krótkiej bardzo przyszłości z powodzeniem walczyć będą mogły ze swymi poprzednikami — balonami.

Zastosowanie jednak praktyczne żeglugi powietrznej będzie długo jeszcze zależne od okoliczności wyjątkowych; dzisiaj bardzo jeszcze trudno przypuścić aby żegluga powietrzna mogła oddawać ludzkości takie usługi, jak żegluga np. morska, bowiem nieprędko jeszcze nasze balony i aeroplany zdatne będą do przenoszenia ciężarów. Na razie niestety największe korzyści z gienjalnego wynalazku odniesie sztuka wojenna.

Balon ze sterem posiada następujące zalety: łatwość wznoszenia się i zmiany wysokości, niezależność zaś utrzymywania się w powietrzu od posuwania się w kierunku poziomym pozwala mu, wskutek „wiszenia" w powietrzu, na robienie dokładnych obserwacji, wpływa na regularność ruchu, niezależnie od wysokości; jednak balony ze sterem mają podług mnie pomniejszą przyszłość od przyrządów cięższych od powietrza ,są bowiem nadzwyczaj drogie, zajmują bardzo dużo miejsca, wymagają kłopotliwej produkcji gazu, którego przewóz w tak dużych ilościach jest bardzo uciążliwy.

Co się tyczy przyrządów cięższych od powietrza, możemy dziś mówić tylko o aeroplanach, jedynych, które dały wyniki zadawalniające; skrzydłowce (ornitoptery) bowiem oparte na mylnie pojmowanej teorji lotu ptaka, żadnych rezultatów nie dały, a jak dzisiejsza nauka lotnictwa dowodzi — są bardzo dalekie od jakichkolwiek zastosowań praktycznych.

Druga kategorja przyrządów cięższych od powietrza, tak zwane śrubowce (helikoptery) są jeszcze w fazie prób, wyników praktycznych jeszcze żadnych niema; dokonane jednak próby wskazały, że i śrubowce nieprędko jeszcze będą mogły być praktycznie urzeczywistnione.

Aeroplan, w przeciwieństwie do balonu bardzo łatwo przenosi się z miejsca na miejsce, a to wskutek małej objętości, wiadomo bowiem, że szybkość przenoszenia się zależną jest od tej objętości, to też szybkość lotu aeroplanu wynosi średnio 70 kilometrów na godzinę, a balonu 45 — 48; aeroplan również bardzo łatwo w stosunku do balonu przewozić można z miejsca na miejsce. Wady aeroplanu są następujące: w celu wzniesienia się aeroplan musi przebiedz pewną (kilkadziesiąt metrów) przestrzeń po ziemi, co nie zawsze może być łatwo wykonane; zatrzymanie motoru, czasami nawet zmiejszenie szybkości, zmuszają lotnika do lądowania.

Takie są w krótkich zarysach zalety i wady współczesnych wozów powietrznych. W artykule niniejszym chcę przedstawić stan dzisiejszy lotnictwa, to jest żeglugi powietrznej za pomocą przyrządów cięższych od powietrza; jak wiemy, przyrządy te redukują się głównie do aeroplanów: o nich też mówić tylko będę.

Odróżniamy cztery części składowe w aeroplanie: skrzydła, stery, silnik (motor) i śmigło (śrubę).

Aeroplan posuwa się naprzód pod wpływem obrotu śmigła, wprowadzonego w ruch przez silnik; posuwaniu się naprzód stawia opór powietrze; część tego oporu idzie na zrównoważenie ciężaru samego aeroplanu.

Następujące krótkie rozumowanie pozwoli nam pojąć, w jaki sposób opór powietrza może zrównoważyć ciężar aeroplanu.

Arkusz lekkiego papieru pod wpływem pionowo do niego skierowanego prądu powietrza unosi się w górę. Regulując odpowiednio prąd powietrza, możemy utrzymać papier w równowadze.

To samo zjawisko można otrzymać inną drogą: przywiązać do papieru sznurek, za którego pomocą nachylamy płaszczyznę arkusza papieru tak, aby wiatr mógł działać na tę płaszczyznę pod pewnym kątem; kierunek wiatru w tym wypadku może być nawet zupełnie poziomym. Ten prosty przyrząd, składający się z arkusza papieru i sznurka jestto wszystkim znany latawiec.

Zjawisko się nie zmieni, jeżeli wiatru żadnego nie będzie, natomiast za pomocą sznurka sami będziemy przesuwali wyżej wspomniany arkusz papieru.

Jeżeli wreszcie sznurek i człowieka, ten sznurek ciągnącego zamieni śmigło wprowadzane w ruch przez silnik wybuchowy — otrzymamy aeroplan.

Z powyższego wynika, że im większy będzie opór powietrza, tym łatwiej będzie utrzymać się w powietrzu przy pomocy aeroplanu. Doświadczenia prowadzona przez wielu badaczy (Dantec, Eiffel, Riabuszinskij i inni) wykazały, że opór powietrza jest zależny od szybkości, z jaką posuwa się aeroplan; zależność ta wyraża się w ten sposób, że jeżeli np szybkość się podwoi, opór będzie nie 2 lecz $2 \times 2 = 4$ razy większy od poprzedniego; jeżeli szybkość potroimy, opór będzie dziewięć razy większy i t. d.; innymi słowy, opór jest proporcjonalny do kwadratu szybkości. Prócz szybkości, opór jest w stosunku prostym do wielkości powierzchni oraz zależny jest od kąta nachylenia płaszczyzny względem linji poziomej kierunku wiatru. Doświadczenia wykazały, że kąt ten powinien być bardzo niewielkim (parę stopni). Również na zasadzie doświadczeń przekonano się, że opór jest większy, jeżeli zamiast powierzchni płaskiej użyć powierzchni zlekka wklęsłej ku dołowi, oraz że gdy pozostawimy wszystkie wyżej wspomniane wielkości: powierzchnię, kąt, szybkość niezmiennymi, opór zależny będzie od tego, jak daną powierzchnię będziemy przesuwać w przestrzeni. Jeżeli np. powierzchnia będzie miała kształt prostokąta, należy ją przesuwać tak, aby większy bok prostokąta był prostopadłym do kierunku ruchu. Zrozumienie tej zależności będzie łatwiejszym, jeżeli porównamy powierzchnię aeroplanu ze skrzydłami ptaka podczas lotu: rozpiętość skrzydeł jest większą aniżeli długość od głowy do ogona.

Z powyższych zależności oporu powietrza, otrzymanych drogą doświadczalną wynika, że aby zwiększyć możność utrzymania się w powietrzu, należy powiększać szybkość aeroplanu i powierzchnię jego, zmniejszać zaś wagę oraz kąt nachylenia płaszczyzny. Zmniejszanie ciężaru samego aeroplanu ma swoją granicę, której przekroczyć nie możemy: zwiększanie powierzchni pociąga za sobą powiększanie ciężaru, tak że i w tym kierunku jesteśmy ograniczeni.

Pozostają nam więc szybkość i kąt nachylenia; jeżeli zmniejszymy kąt nachylenia skrzydeł do poziomu, szybkość zwiększa się — bierzemy oczywiście pod uwagę, że aeroplan posuwa się w kierunku poziomym; — jeżeli natomiast powiększymy szybkość, nie zmieniając kąta nachylenia płaszczyzny, równowaga między wielkościami wchodzącymi w grę zostaje zachwiana, aeroplan unosi się w górę.

Tym tłomaczy się, dlaczego pewne aeroplany mogą unosić w powietrze bez różnicy jedną, dwie lub nawet trzy osoby. Aeroplany te utrzymują się w powietrzu, zwiększając szybkość w miarę powiększania podnoszonego ciężaru. Zdarza się często, że lotnik zatrzymuje silnik, będąc jeszcze na pewnej wysokości; szybkość aeroplanu zmniejsza się, ale zmiejsza się bardzo powoli — wobec tego lądowanie nie jest raptowne.

Część powierzchni aeroplanu idzie na stery kierunku i głębokości oraz na tak zwany statecznik czyli

ogon. Ster kierunkowy jest to ruchoma płaszczyzna pionowa, działająca tak samo, jak ster łódki, ster głębokości czyli t. zw. chył jest znowu powierzchnią ruchomą, obracającą się na osi poziomej; podniesienie tej płaszczyzny powoduje ruch aeroplanu do góry, opuszczenie — ruch ku dołowi.

W celu nadania aeroplanowi stateczności w kierunku podłużnym używany jest statecznik lub ogon, składający się z powierzchni nieruchomej poziomej, zupełnie podobnej do skrzydeł tylko daleko mniejszej. Działanie statecznika jest zupełnie automatyczne. Jeżeli np. przednia część aeroplanu pochyli się ku dołowi, statecznik pójdzie do góry, temu przesunięciu powietrze stawia opór, skierowany ku dołowi; przy odpowiedniej wielkości powierzchni statecznika równowaga zostaje zachowaną.

Odpowiedni podział mas między głową, a ogonem aeroplanu jest nadzwyczaj ważny, ze względu na stateczność podłużną.

Cały szereg nieszczęśliwych wypadków miał właśnie za przyczynę zachwianie równowagi podłużnej; wypadek taki zdarzył się niedawno u nas w Warszawie: aeroplan p. Guyot'a skutkiem stracenia równowagi podłużnej, wyrażając się technicznie, „dał nurka" t. j. spadł przodem na ziemię: aeroplan został strzaskany, p. Guyot zaś szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyszedł cało.

Prócz stateczności podłużnej powinna być zachowana równowaga poprzeczna, to jest powinna być usunięta możność chwiania się osi aeroplanu w płaszczyznie poziomej. W tym celu możnaby użyć stateczników, przedstawiających płaszczyznę nieruchomą pionową, doświadczenia jednak wykazały, że tego rodzaju stateczniki nie dały zadawalniających wyników. Jedynym rozwiązaniem kwestji byłoby zwiększenie szybkości i rozpiętości aeroplanu. Niestety jednak zwiększenie szybkości w dzisiejszych warunkach może być uskuteczniane w małych bardzo granicach, co zaś się tyczy rozpiętości (t j. szerokości skrzydeł), to raczej dążyć należy do jej zmniejszenia.

Próbowano zaradzić złemu w ten sposób, że dodawano do skrzydeł aeroplanu dwie ruchome małe powierzchnie, mające obracać się naokoło osi poziomej; działanie tych powierzchni t. zw. skrzydełek polega na tym, że, jeżeli wskutek pewnych przyczyn np. lewe skrzydło aeroplanu pochyli się ku dołowi, a więc prawe ku górze, wtedy lewe skrzydełko podnosimy, a prawe opuszczamy, co się robi automatycznie. Opór powietrza wtedy w lewym skrzydełku będzie skierowany do góry, a w prawym na dół.

Powierzchnie skrzydełek można tak dobrać, aby aeroplan powrócił do poprzedniego położenia. Sposób ten, zastosowany przez Blériot'a został jednakowoż zaniechany. Obecnie stosuje się prawie zawsze sposób, wprowadzony przez braci Wright'ów, a polegający na tym, że końce samych skrzydeł są elastyczne, lotnik ma możność automatycznie podnieść jeden koniec skrzydła i opuścić drugi.

Działanie, jak widzimy, jest analogiczne do działania skrzydełek. Sposób ten, t. zwane „skrzywienie skrzydeł" okazał się praktyczniejszym od skrzydełek, jednak kwestja równowagi poprzecznej ciągle jeszcze jest uważaną za niedostatecznie rozwiązaną.

Z kolei słów parę należy powiedzieć o silniku. Jak wiadomo silnik aeroplanu jest to ten sam silnik automobilowy, tylko znacznie lżejszy. Działanie takiego silnika polega na wprowadzeniu do cylindra mieszaniny powietrza i benzyny w stanie gazowym.

Mieszanina zapala się za pomocą iskry elektrycznej; następuje wybuch, skutkiem czego tłok zostaje poruszony. Jeszcze w roku 1884 pułkownik Renard udowodnił, że lotnictwo zależne jest od motoru i jeżeli uda się skonstruować taki motor, któryby ważył 5 kilogramów na konia parowego — latać będzie można.

Przewidywania pułkownika Renarda sprawdziły się; nawet przeszły jego oczekiwania, dzisiejsze bowiem motory ważą zaledwie $1^1/_2$ — do 2 kilogramów na konia parowego. Skutkiem takiej nadzwyczajnej lekkości motoru powstał cały szereg wad, do usunięcia których dążyć należy. Silniki aeroplanowe nie posiadają koła rozpędowego, skutkiem czego wymagana jest idealnie przygotowana mieszanina wybuchowa; źle przygotowana mieszanina może nie eksplodować w pewnej chwili, a brak koła rozpędowego może spowodować zatrzymanie się motoru, co było przyczyną niejednego nieszczęśliwego wypadku. Dzisiejsze przyrządy do mieszania powietrza i gazu benzynowego pozostawiają jeszcze dużo do życzenia. Również zapalanie mieszaniny wybuchowej jest dalekim od doskonałości.

Zapalanie to odbywa się za pomocą elektryczności; otóż zerwanie przewodnika, zły kontakt, częste psucie się maszynki, dającej prąd elektryczny są przyczyną zatrzymania się motoru, bowiem mieszanina przestaje się zapalać.

Również bardzo ważną kwestją jest ochładzanie cylindrów, nagrzanych po wybuchu.

Nagrzewanie cylindrów wpływa bowiem na zmniejszenie sprawności motoru, czego wynikiem może być to, że silnik np. 25-cio konny będzie pracował ze sprawnością 20 — 15 a nawet i 12 koni. Przyczyną zmniejszania się sprawności motoru jest ta okoliczność, że powietrze wchodzące do cylindra rozszerza się, mieszanina wybuchowa zmienia stosunek żądany składowych części i silnik działa słabiej. Są dwie metody chłodzenia silników: powietrzem i wodą. Pierwsza metoda ma tę zaletę, że nie wymaga specjalnych przyrządów do chłodzenia, natomiast, okazało się, że chłodzenie nie jest zupełnie dostateczne. Druga metoda, chłodzenie wodą, wymaga specjalnych przyrządów, co powiększa ciężar aeroplanu, natomiast chłodzenie jest skuteczniejsze, i na tym polu dużo jest do zrobienia.

Pozostaje do omówienia „śmigło" czyli śruba. Działanie śruby w powietrzu jest zupełnie analogiczne do działania śruby w wodzie; powietrze, aczkolwiek 800 razy lżejsze od wody daje jednak śrubie punkt oparcia, natomiast opór stawiany śrubie przez powietrze jest 800 razy mniejszy aniżeli opór stawiany śrubie przez wodę. Sruby różnych aeroplanów różnią się dość znacznie. Długość ich bywa od 2 do 2,8 metrów. W jednych aeroplanach śruba jest nasadzoną bezpośrednio na osi silnika, u innych zaś za pomocą przekładni. Śruba będzie tym lżejszą im jest mniejszą; im zaś jest mniejszą tym większą liczbę obrotów musi wykonywać, ażeby dać odpowiednią siłę. Zatym małą śrubę można bezpośrednio nasadzić na oś motoru, przekładnia niepotrzebna, waga przyrządu jest mniejszą, natomiast mała śruba ma niewielką wydajność, t. j. sama dużo zużywa energji. Stąd dwa systemy, każdy mający swoich zwolenników. Wogóle kwestja śruby, mimo tak pięknych prac, jakimi są prace naszego rodaka Drzewieckiego, jest jeszcze bardzo daleką od ostatecznego rozwiązania.

Jakim będzie aeroplan przyszłości?

Dzisiaj trudno jeszcze zdać sobie z tego sprawę, prawdopodobnie jednak rozwój aeroplanów pójdzie tą samą drogą, co i rozwój samochodów.

Z pośród całej masy różnorodnych typów wyłoni się ostatecznie jeden najbardziej celowy, najbardziej odpowiadający zadaniu. Kiedy Blériot przeleciał kanał La Manche, przyniosło mu to nietylko sławę ale i 100 obstalunków na aeroplany. Dziś przemysł ten ogromnie się rozwinął: w samej Francji jest kilkanaści fabryk, produkujących aeroplany; jeżeli do tego dodamy fabryki wyrabiające motory, płótno i inne akcesorja, będziemy mieli pojęcie, jak prędko i do jakich rozmiarów doszedł przemysł, którego lat temu parę i śladu dopatrzeć by się było trudno. Wraz

z rozwojem przemysłu powstają różne uczelnie, kształcące zawodowo w danym kierunku.

Jeżeli dodamy do tego olbrzymie sumy, przeznaczane na tak zwane „tygodnie awjacyjne", zauważymy, że przyszłość lotnictwa jest zabezpieczoną.

Adolf Winawer.

NA DOBIE.

Cyrano de Bergerac czy Don Kichot?

Gdzieś w głębi, na dnie duszy narodowej wzbiera wrzód — źródło niebezpiecznych przesileń. Ostatnie lata targnęły mocno intymną więzią spólnoty między materjalną podstawą kultury a jej duchowymi szczytami. Powstał, pogłębił się rozdźwięk. Z jednej strony — mistycznie wygórowane nastroje, z drugiej — rzeczywistość, tak jałowa i płaska, jak ugór piachów mazowieckich.

I oto rozpływa się marzycielstwo niepoprawne i płoche w snach o „rycerskiej szpadzie", podczas gdy garść ludzi pozytywnego czynu, z natężeniem wszystkich sił, z krwawym mozołem dźwiga olbrzymi balast *nieużytków*, aby utrzymać naród na poziomie kultury nowoczesnej.

A gdy tak naprzód postępuje, z dwu stron, z ubocza, rozlegają się głosy, złorzeczące tej „burżuazyjnej" kulturze. Z jednej strony złorzeczą dogmatycy skrajnego marksizmu, którzy w świecie współczesnym widzą li tylko objawy rozkładu i upadku; z drugiej — słychać zawodzenia mistyków z Bożej łaski, zrażonych do Europy nazbyt realnym kształtem jej pragnień doczesnych.

Wyrazem tego nastroju było głośne przed kilku miesiącami wystąpienie T. Nalepińskiego, który ze szczytu Katedry *Notre-Dame* dostrzegł, że duch burżuazyjny ogarnął nawet ideologję czwartego stanu („mamy już w garnku kurę, obiecaną wszystkim nam przez Henryka IV"). *Notabene*, niezaprzeczony wzrost dobrobytu mas ludowych na Zachodzie jest faktem zgoła dodatnim, który martwić może chyba tylko stronników anarchistycznej formuły: *im lepiej — tym gorzej*. Ale p. Nalepiński zmartwił się śmiercią „Ducha, zabitego na Zachodzie przez proletarjusza w aksamitnej kamizelce o tombakowym łańcuszku" i obwieścił o tym warszawskiemu „Swiatu" w artykule o dość wymuszonym nagłówku *Kura i Kultura...* „Szczerze wyznaję — woła autor — że wolę nasz brak kultury, wolę nasze pustkowia, *tabulae rasae* — od pysznej i opasłej, przekwitłej za Ludwików w pąki dekadenckiego grzechu, skażonej u źródła — kultury gallijskiej. Nie spodziewam się bowiem od niej już prawie nic, z wyjątkiem może nowych rewelacji w malarstwie" (*sic*).

Osobliwy ten sąd i wyrok, wydany rzeczywiście *ex cathedra* przez warszawskiego literata — wywołał pewien odruch zdziwienia. Wobec utkwionych w siebie pytających oczu licznej publiki, p. Nalepiński chwycił znów za pióro i, przeniósłszy się na nowo myślą na szczyt paryskiej katedry, napisał: „Przed oczyma powstawał z pióropuszem w dłoni — rycerz i dworak: *Cyrano de Bergerac*. Boski uśmiech eutanazji gasł na jego ustach. Był on dla nas wierną apoteozą wielkiego giestu — po wielkich czynach".

To więc ma być „Duch, zabity na Zachodzie przez proletarjusza w aksamitnej kamizelce", a który „tylko u nas wiecznie zmartwychwstawa". Cyrano de Bergerac? A może Chantecler?

Ej, nie! To chyba smętny, a niepoprawny, rycerski a śmieszny *Don Kichot* — po świeżej walce z wiatrakami...

Burżuazyjny duch Robinzona.

Gdy się patrzy na świat wyłącznie z literacko-nastrojowego punktu widzenia, gdy się zupełnie lekceważy pracowite i pełne twórczej gienjalności zabiegi społeczeństw demokratycznych koło rozwiązania kwestji normalnego współżycia jednostek i narodów — to wydać się może istotnie, że „prawdziwie aryjski" wschód Europy góruje nad mieszczańskim Zachodem. I wówczas eutanazyjny uśmiech i piękny giest Don Kichota (którego „duch wiecznie wśród nas zmartwychwstawa") przemawia do nas wyraźniej i zrozumialej, niż lakoniczny język i ściągnięte brwi nawskroś burżuazyjnego ducha Robinzona.

Zaś ów, przez nas nierozumiany i odpychany, nietylko cudów dokazał na wyspach Nowego Świata, nietylko w ciągu 100 lat zdążył powiększyć tysiąckroć wydajność pracy i rozlewność kultury ludzkiej — ale gdzieś w okolicach pustyni Gobi czyli Szamo pobudził do czynnego bytu ludy, zdało się, obumarłe i dla życia stracone. I niech nam będzie wolno zauważyć, że przedwcześnie pisane *epitaphia* na grób mieszczańskiej kultury brzmią nieco... zabawnie w chwili, kiedy nawet strupieszała Azja, dopadłszy do tego wzgardzonego źródła, odradza się w naszych oczach, młodnieje, poczyna pulsować świeżą krwią, staje się *Azją postępową*.

Warszawa — stolicą magów.

Było przed laty u nas „laurowo i ciemno". Dziś grozi nam *ciemnia mistyczna*. Operuje w niej pokaźny i z dnia na dzień rosnący zastęp szarlatanów, magów, astrologów, chiromantów, wróżbitów, spirytystów i telepatów. To wszystko krząta się rzeźko po oślej łące mistycznego snobizmu i zbiera plon obfity. Nic łatwiejszego, jak powiązać religijną dewocję z kultem astrologji czy magji, to też wiadomy całemu światu nasz religijny układ myślowy ściąga do Polski z dalekich stron różnego rodzaju chętnych pośredników pomiędzy „czwartym wymiarem", a trzema istniejącymi. Owi pośrednicy niemałą czynią konkurencję uświęconym Kalchasom, od których zresztą nie różnią się wcale co do metod, jak świadczy o tym następująca tablica, załączona do prospektu pewnego handlarza cudów.

ASTROLOGICZNY CENNIK

horoskopów opracowanych przez Biuro znakomitego astrologa

Geo Wilde'a.

Nr. 1.	Horoskop wraz z jego mapą: zarys charakteru, umysłowych zdolności, zdrowia, wskazanie rodzaju zajęć, najwięcej sprzyjającego do powodzenia w życiu. Widoki finansowe. Małżeństwo. Stosunek do ludzi: przyjaciele, wrogowie. Podróże i ważniejsze okresy w życiu jednostki . . . (w oryginale angielskim.)	7 rb.
Nr. 2.	Prognostyk na jeden rok	3 „
	Horoskop Nr. 1 i 5 lat prognostyku . . .	15 „
	„ „ 10 „ . . .	25 „
	„ „ 20 „ . . .	40 „
	„ „ 40 „ . . .	75 „
Nr. 3.	Dobre i złe dnie w ciągu roku.	5 „
	mogą być zamawiane tylko po uskutecznieniu zamówień Nr 1 i Nr. 2, lub jednocześnie z nimi.	
Nr. 1, Nr. 2 i Nr. 3 razem	. . . .	12 „
„Sprostowanie" horoskopu	gdy czas urodzin nie jest dokładnie znany a podany w przybliżeniu do 1-ej godziny	2 „

Termin wykonania zamawiań: od 2 do 3 tygodni.

Opłata zgóry przy zamówieniu.

— Ależ to wyzysk! — zawoła niejeden — to powinno być prawem zakazane!

Zakazane? Bynajmniej. Handel cudami należy dziś jeszcze w XX-ym wieku do rzeczy najpowszedniejszych i odbywa się wszędzie na wielką skalę,

począwszy od sprzedaży rozgrzeszeń i hurtownego zbytu „biletów do Nieba", kończąc na relikwiach, cudami słynących, na wodzie z Lourdes, mleku Matki Boskiej, tasiemkach św, Józefach, szkaplerzach św. Antoniego i mózgu Jana Chrzciciela. A kwitnące po miasteczkach naszych przedsiębiorstwa różnych wielbionych jak bogi *cadyków*, którym ciemne masy hasydzkie zanoszą ostatni grosz? A hurtowa i detaliczna sprzedaż na każdym odpuście t. zw. dewocjonalji — typowych fetyszów, bałwanków, amuletów, leków cudownych, świątobliwych panaceów? Byłoby dziwnym, gdybyśmy powstali z oburzeniem na skromne „biuro astrologiczne" pomysłowego astrologa „szkoły chaldejskiej", podczas gdy tuż obok piętrzy się do nieba olbrzymi *Bazar Cudów*, nietylko uświęcony przez prawo i obyczaje, ale nadto strzezony czujnie przez oświeconą zachowawczą opinję.

Trzeba być sprawiedliwym: niechaj mag chaldejski z ul. Pięknej korzysta z tych samych swobód, co rabin — cudotwórca z Góry Kalwarji lub handlarz świętych amuletów z Krak.-Przedmieścia, który potarciem cudownego medaliku leczy pono wszystkie choroby, począwszy od kataru, a kończąc na suchotach galopujących. Jeśli zaś żądna cudów klientela zwraca się gremialnie od kalchasów w sutannie do kalchasów w assyryjskiej todzie (lub odwrotnie) — to już rzecz czysto zawodowej konkurencji tych przemysłowców.

Błogosławiony język.

Język powszechny *Esperanto* — donosi *Matin* — doczekał się sensacyjnego zaiste poświęcenia. Oto wobec naglącej potrzeby samoobrony, religja katolicka sięga z kolei po zielono-biały gwiaździsty sztandar esperantystów, aby tym łatwiej zgrupować i poprowadzić za sobą hufce różnoplemiennych wyznawców. Pomysł jest oryginalny i udatny. Zdobył się nań p. Gauthier, proboszcz parafji *Saint-Gervais*: zachwycony powodzeniem Esperanta na różnych zjazdach międzynarodowych, zaproponował użycie języka d-ra Zamenhofa na najbliższym międzynarodowym kongresie katolików.

Arcybiskup paryski mgr. Amette przychylił się do tego projektu. I oto d. 20 kwietnia przy ulicy Vaugirard, pod przewodnictwem mgr. Baudrillart'a, rektora uniwersytetu katolickiego, odbył się pierwszy kongres międzynarodowy katolików-esperantystów.

Należy mniemać, że są oni licznie po świecie rozsiani, bo nigdy zebranie nie było bardziej kosmopolityczne. Siedemnaście krajów wysłało swych przedstawicieli, poczynając od Belgji, Holandji, Anglji, Irlandji, Niemiec, Hiszpanji — kończąc na Kroacji, Rosji, Węgrzech a nawet Wenezueli. Prócz *Pater Noster*, odmówionego po łacinie, obrady toczyły się po esperancku.

W tym błogosławionym odtąd języku delegaci kolejno wygłaszali mowy, wyrażając gorące życzenie, aby na podstawie wspólnego języka katolicy wszystkich krajów zawarli stałą spójnię, ku tym czynniejszej obronie zagrożonego katolicyzmu.

Tyle *Matin*. Niewinna napozór wiadomość o nowym sukcesie Esperanta spada oto jak grom z jasnego nieba na głowy naszych klerykalistów i pobożnych zachowawców, którzy wszak potępili raz na zawsze Esperanto jako wymysł żydowski, nienarodowy. Teraz przyjdzie chyba klątwę odwołać. Już to nasza zaściankowa parafja zostaje w tyle za swą europejską macierzą i ten dystans płata jej niekiedy złośliwe figle.

Bądź co bądź, Kościół rzymsko-katolicki, biorąc na swoje usługi język międzynarodowy, dowiódł wyraźnie, że staje się coraz jawniej korporacją kosmopolityczną. A wobec tego wtłaczanie jakiegokolwiek narodu w ramy katolicyzmu oraz uznawanie tego ostatniego za rodzaj *więzi narodowej* — jest takim samym absurdem, jakim byłoby np. tworzenie narodowości esperanckiej.

Ponieważ zresztą wyraz „katolicyzm" znaczy „powszechność", przeto dziś język d-ra Zamenhofa, wymysł „żydowski", uznać należy, wślad za paryskim arcybiskupem, za język *par excellence* „katolicki" t. j. powszechny.

Nasze ofiary.

Pisma codzienne z zeszłego tygodnia podały wiadomość, że naczelnik ruchu kolei warsz.-wiedeńskiej pociąga do odpowiedzalności konduktorów za karygodne wybryki młodzieży szkolnej podczas podróży z Skierniewic do Warszawy i z Ząbkowic do Sosnowca. Chłopcy tłuką szyby w oknach i niszczą urządzenia wagonów a podróżnym wyrządzają przykrości. Rozsypując się po całym pociągu, nieposłusznie, impertynencko zachowują się wobec wszelkiej próby poskromienia niedającej się powściągnąć swawoli.

Konduktor przechodząc z miejsca na miejsce nie może czuwać nad ich zachowaniem się, przeto nadal, jadącym bez opiekunów lub rodziców, wolno będzie wchodzić tylko do specjalnie przeznaczonych dla nich wagonów, a nieposłuszni przedstawiani będą dyżurnym na stacjach.

Wobec pojawienia się tej notatki wstydem powinny były zapłonąć czoła rodziców. Synów ich, jak dzikusów, spędzać będą do oddzielnych wagonów, ażeby zabezpieczyć podróżnych od przykrości zetknięcia się z nimi, a dobro kolei od szkody. Za winy ojców i matek dzieci chłostać będą publicznie, za ich słabość, lenistwo, zaniedbanie obowiązku rodzicielskiego. I nie jest to wyjątkowa okoliczność ujawniająca pękanie i rozpadanie się w gruzy murów tej szkoły dobrych obyczajów i kultury, za jaką chcemy koniecznie mieć rodzinę. Co rodzina uczyniła dla tych chłopców, którzy teraz oto stanęli przed oczami całego kraju jak banda rozhukanych, niesfornych zwierzątek? Wychowywanie dzieci to praca bardzo ciężka. Nasze kobiety, które w ogromnej większości wychodzą zamąż dlatego tylko, żeby nic nie robić, oczywiście trudem takim obarczać się dobrowolnie nie myślą, więc też z ich synów wyrastają tabunowcy, szkodnicy — często wstyd i zakała całego społeczeństwa. Tacy to stali się powodem, że w Szwajcarji o obyczajach Polaków mówi się z pogardliwym lekceważeniem, że w domach, bardziej dbałych o porządek i całość rzeczy, nogi im postawić nie pozwolą — bo tam dziecko czteroletnie większe ma poczucie godności własnej, większe poszanowanie cudzej własności i cudzego kąta, niż u nas młodzieniec dwudziestoletni. Dzikość naszej młodzieży, jej zupełny brak kultury uderza każdego, kto uważniej patrzy; lecz nie ją winić za to trzeba i nie konduktorów do odpowiedzialności pociągać. Jeśli rodzice nie będą współdziałali w wychowaniu dzieci ze szkołą, żadne wysiłki tej ostatniej nie zdołają naprawić złego, które z domu uczniowie wynoszą.

Łamańce gościnności.

Warszawa odegrała jedną ze swoich ulubionych fars. Przyjechało dwuch Francuzów z odczytami, więc się zdarzała sposobność zaprodukowania naszej cnoty rodzimej — gościnności. Przytym obaj cudzoziemcy mienią się naszymi przyjaciółmi i w różnych okolicznościach o tej swojej przyjaźni głośnym słowem zaświadczyli; więc do gościnności należało dołączyć wdzięczność. Spełnienie obowiązku wzięły na siebie pewne sfery z własnego powołania, jak to u nas zwykle bywa — i przyjęciu gości nadały charakter niesmacznej, z przesadą graniczącej czołobitności. Czyżeśmy już tacy nędzarze, że każdy ochłap

życzliwości wprowadzać nas będzie w zachwyt, graniczący z utratą przytomności.

Niektóre pisma uprawiały wprost nagankę reklamową i gniewały się bardzo, że ich wielkim i donośnym wezwaniom w imię przyjaźni Francji, związków tradycyjnych, wspomnień przeszłości niecała Warszawa dała się porwać i rzucić do stóp przybyszów. Wielkie szczęście, że znaleźli się tu jeszcze ludzie niezupełnie odarci z sensu i godności. Cóż nam tak bardzo dała ta Francja — żebyśmy się tak przed nią w porywie wdzięczności korzyli?

W pamięci dziejów naszych niejedną ciężką krzywdą się zapisała; zawsze trzeźwa, rachująca, jednej marnej korzyści dla nas nie poświęciła, a jej przedstawiciele choćby tylko w Dąbrowie Górniczej zaznaczyli się taką bezwzględnością wyzysku, taką nieludzkością traktowania robotnika polskiego, że z nikim porównać się nie dadzą. Ci ze swego bagażu wyrzucili całkowicie sentyment, a nawet sumienie, jak niepotrzebne rupiecie, a bogacąc się naszym dobrem, oni, synowie kulturalnej i humanitarnej Francji, na naszej ziemi stali się rabusiami praw kulturalnych tych wszystkich, których praca zależnymi od nich zrobiła.

Szkoła grafików i rękopisy.

W niedawnej przeszłości, bo od roku zaledwie, założoną została w Warszawie *Szkoła grafików*, mająca na celu ogólne wykształcenie fachowe, w zakres grafiki, drukarstwa i pokrewnych gałęzi wchodzące. Szkoła ta o bardzo znacznej frekwencji zdobywa z biegiem czasu coraz poważniejsze i donioślejsze znaczenie. Dzięki niej możemy w przyszłości mieć zawodowców pracy graficznej, stojących na wyższym poziomie technicznym i umysłowym, lepszych pracowników drukarskich, bieglejszych i zdolniejszych zecerów, a tym samym zdobyć w dziedzinie drukarstwa wiele ulepszeń i udogodnień, które jednocześnie wpłyną na jego rozwój, jak również na dobrobyt pracowników.

W związku z tą sprawą chcę oświetlić jedną „ciemną plamę", utrudniającą działalność pracowników drukarskich i opóźniającą, a raczej zmniejszającą ich zarobki.

Znany powszechnie system składania z rękopisów bywa niejednokrotnie w swoim rodzaju plagą dla zecerów. Przyczyną tego są właśnie rękopisy. Zło nie do usunięcia w zupełności, jednakże przy dobrej woli do poprawienia. Bowiem nie wszystkie rękopisy zaliczyć można do kategorji, stanowiących o różnicy bardzo znacznej w zarobku dziennym zecera. Śmiało jednakże śród rękopisów, idących na pulpit zecerski, naliczyć można $1/4$ — $1/3$ nieczytelnych.

Kto nie dotknął się roboty drukarskiej, lub nie zadał sobie trudu dokładnego przypatrzenia się jej zblizka, ten nie może mieć pojęcia, do jakiego stopnia nieczytelne rękopisy są *rabusiami* zarobków pracownika, wiele niejednokrotnie trudu i czasu kosztuje jeden wyraz, lub zdanie, nie mówiąc już o nieczytelnym piśmie „z przekonania".

Poruszam tę sprawę umyślnie, aby umotywować myśl, którą chcę rzucić pomiędzy tych, których *pióra piszą niewyraźnie*. Trudno radzić nauki kaligrafji na starość, czy wogóle po „ukończeniu studjów", wszelako jestem głęboko przekonany, iż odrobina starania i pamięci o zecerach przydałaby się na coś ich kieszeniom, a także przysłużyłaby się samym autorom rękopisów nieczytelnych w zyskaniu pośpiechu dla ich obstalunków.

A ci, którzy poczuwają się do tej mimowolnej winy względem pracujących „składaczy", mogliby choć w części wynagrodzić im straty przez siebie poczynione i to w bardzo łatwy sposób. Niech tylko ofiarują coś ze swych nieczytelnych rękopisów na rzecz towarzystwa grafików, które ze swej strony podejmie trud wydawniczy, a pieniądze ze sprzedaży tych prac przeznaczy na dalszy rozwój powyższej instytucji. W ten sposób autorzy nieczytelnych rękopisów spłacą swój dług względem pracowników drukarskich, a ci ostatni zyskają więcej kapitału na dalszy rozwój szkoły i wiedzy technicznej oraz zdolności przyszłego pokolenia zecerów. Nie zapominajmy bowiem, że w omawianej kwestji wina leży i po ich stronie — brak odpowiedniego wykształcenia, brak wykształcenia wogóle, które niejednokrotnie zastąpićby mogło zwyczajne orjentowanie się wzrokowe. Lecz temu właśnie na przyszłość zapobiegać ma szkoła grafików.

Ci wszyscy, którzy chcą myśl rzuconą poprzeć, zechcą nadsyłać ofiarowane prace (broszurki naukowe, szkice, czy prace literackie krytyczne, lub twórcze) w rękopisach do Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej: „Oddział kształcenia zawodowego grafików", Chmielna 52 (tel. 79-05).

(Wszystkie redakcje proszone są o przedruk niniejszych słów w celu zaznajomienia z nimi jaknajszerszego ogółu, mogącego dać oddźwięk na to wezwanie).

Wł. Lit.

LITERATURA i SZTUKA.

„Odłam".

Trzecia wystawa grupy plastyków „Odłam" stanie się niewątpliwie najwybitniejszym zdarzeniem artystycznym wiosennego sezonu w Warszawie; świetny ten pokaz ostatnich wysiłków naszych malarzy musi rozproszyć swą mocą, żywotnością i urokiem najczarniejsze pesymizmy zatroskanych o sztukę naszą jednostek, musi napełnić je otuchą i wiarą w siłę naszej sztuki nowej. Bądźmy o przyszłość jej spokojni, skoro teraźniejszość takie radosne daje nam obietnice, bądź już w skończone formy piękna wcielone dowody bujności i żyzności młodych talentów rodzimych.

Jakże bo częste w ostatnich czasach utyskiwania na zanik *myśli* w malarstwie polskim ostać się mogą wobec owych przedziwną głębią poezji i malarskiego majsterstwa tchnących wiejskich Madonn Vlastimiła Hofmana? Czy mogą trwać w swej mocy słuszne niedawno jeszcze zarzuty *dorywczości* i *szkicowości* w młodym pejzażu — wobec czarujących krajobrazów Teodora Ziomka i śmiałych a dojrzałych w technice prac Br. Kowalewskiego.

A stałe i poważne postępy całego grona młodych pejzażystów, zapowiedzi Wł. Kuglera i Ryszkiewicza — juniora, talent szczerego artysty-architekta, Oskara Sosnowskiego — czyż to wszystko nie daje nam obrazu rozkwitu wiosennego naszej plastyki?

. . . .

Zacząłem od Hofmana, trzy aż bowiem z jego utworów wysunęły się na czoło tych dzieł „Odłamu", które szczery w kołach rzetelnych miłośników sztuki budzą zachwyt i radosną dumę.

To — dwie „Madonny" i „Jan Chrzciciel". Madonny w kraśnych zapaskach, z dziecięciem w kraciastej chuście — transpozycja rozmodlenia odrodzeńca Florencji czy Sieny na sentyment ludowy polski, zadanie nader trudne wobec stanu uczuciowości współczesnego człowieka, a rozwiązane znakomicie.

Trzeba być politowania godnym *homme machinal*, żeby przejść obok tych obrazów z uśmiechem taniego sceptycyzmu na ustach, a choćby obojętnie.

Jeden z mych przyjaciół, człowiek niewierzący

i dla spraw religji zgoła obojętny, stojąc przed tymi dziełami, rzekł: „Gdybym był bogaty, pobudowałbym na wsi kościół, by go takimi obrazami ozdobić". A jest to człowiek dużego filozoficznego wykształcenia i nieskory do żadnych sentymentalnych roztkliwiań się nad „ludowością" w sztuce.

Nie ludowość ujęcia starego tematu, nie eksperyment artystyczny porywa u Hofmana, lecz ta pełnia duszy *nowoczesnej*, która, wyzwolona przez kulturę uczucia z pęt ultramaterjalistycznego pojmowania życia, znajduje oryginalną, nawskroś *nowoczesną* formę dla uplastycznienia swego marzenia.

W tym urok Hofmana.

W okres rozkwitu wstąpił talent Teodora Ziomka. Zawsze sumienny wobec zadań swej sztuki, trafnie oceniający swe siły dawny Ziomek stał się dziś świadomym dojrzałości tych sił, a przez to śmiałym i bogatym artystą. Rzadko dawniej widywaliśmy słoneczne u niego pejzaże: chętniej malował stogi o zmierzchu lub w pomroce; niechętny jaskrawym plamom światła, tak drogim ongi impresjonistom, od Monet'a i Renoir'a poczynając, usilnie pracował nad wykradzeniem naturze tajemnicy *świattości*, w jakiej kąpią się pola o różnych porach dnia. Dziś jest pod tym względem bardzo już wybitną siłą: z najtrudniejszymi oświetleniami nietylko daje sobie radę ze swobodą dojrzałego artysty, lecz i szczery poeta pejzażu polskiego, potrafi z przedziwną miękkością oddać najsubtelniejsze tego pejzażu nastroje. Jego „Topole" w blado liljowej poświacie lub „Z nad Pilicy", rozległy smętny krajobraz z grającymi na ostach ugoru złoto-pomarańczowymi blaskami nieśmiałego jeszcze słońca są poematami pędzla pierwszorzędnej wartości.

Obok Ziomka wielkie postępy w ostatnich latach stwierdzić należy u drugiego wybitnego pejzażysty, Bronisława Kowalewskiego. Miałem miłą sposobność pisać o rozwoju jego talentu z okazji ostatniej wystawy dorocznej. Teraz dodam tylko, że jest tu obecnie krajobraz zimowy tego artysty, gdzie mróz siarczysty aż skrzy się słońcem na śnieżnych zaspach, w skutych lodem skrętach rzeki chłodem zionie a w przysadzistych chałupach na wysokim brzegu jakby dech zaparł, że przywarowały głuche i nieme doziem: obraz ten mało ma sobie równych w całym współczesnym malarstwie pejzażowym, zimie poświęconym.

Śród młodych pejzażystów wyróżniają się płótna Florjana Piekarskiego, Henryka Uziembły, A. Manna, Br. Bartela („Ule"), Wł Kuglera i Ryszkiewicza-juniora. Piekarskiego „Malwy" (2 numery) i „Słonecznik" nader harmonijnie łączą w sobie soczystość barw ze spokojną lekką melancholją nastroju. Kolorystą, rozkochanym w barwach mocnych, w efektach światła dobitnych, malarzem z dużym temperamentem jest Henryk Uziembło. Już na dorocznej zwracały uwagę jego barwne projekty witraży. Cechy jego pędzla występują dosadniej jeszcze w eksponatach „Odłamu"; zwłaszcza „bajecznie kolorowe" wnętrze pracowni i spokojniejsze „Wiosenne roztopy" i „Kościół w Rudawie" każą spodziewać się po p. U. dzieł wybitnych. Skromny, a głęboko odczuty pejzaż „Po deszczu" Aleksandra Manna najlepsze rokuje nadzieje: jest w nim poczucie koloru bardzo wybitne, bo świadczące, iż artysta ten rozumie, że bogactwo tonów osiągnąć można zapomocą niewielkiej stosunkowo ilości barw, że zależy ono od rozciągłości gamy tych tonów przedewszystkim.

Młody Józef Ryszkiewicz jest na drodze poszukiwań dopiero: silne wpływy Stanisławskiego, słabsze Ruszczyca („Z nad Dubissy") walczą w nim z wyłaniającą się indywidualnością, której oblicza w tej chwili dokładnie określić jeszcze niemożna. Jest na wystawie płótno młodego malarza, Włodzimierza Kuglera: na łące, od kwiatów aż migocącej, dwa konie, w wielkim słońcu, rzucającym zielono-sine mocne cienie na grzbiet siwej kobyły. Rzecz nader śmiała, bardzo po malarsku wzięta — należą się jej autorowi słowa uznania i zachęty, bo talent tutaj bije w oczy. Krasnowolski dał tym razem słabsze od dawniejszych (z „Dorocznej") głowy dziewcząt chłopskich i portrety kobiet z ludu na tle pejzażu; zbałamucił nas artysta wtedy swymi pięknymi grupami rodziny wiejskiej i kąpiących się chłopców — dlatego staliśmy się tak wymagającymi w stosunku do tego tęgiego malarza. Tadeusz Noskowski wycyzelował dwa pejzaże, z których „Ostatni promień" razi trochę wymuszoną surowizną barw, posiadając zresztą zwykłe zalety rysunkowe prac tego artysty. Popowski dał brudno-szary „Wieczór" i lepszy znacznie „Poranek", Wankie—swe bezsłoneczne jesienne pejzaże, pełne melancholji w rozwianych rdzawych warkoczach dzikiego wina,oplatające go ganek wiejskiego dworku: ulubiony motyw artysty, owiany wdziękiem łagodnego smętku. Cały szereg pastelowych motywów Starej Warszawy Zofji Stankiewicz ma w sobie dobre odczucie charakteru odtwarzanych miejsc; niektóre z nich jako nastroje stoją na wysokim poziomie artystycznym. Feliks Jabłczyński, niestrudzony poszukiwacz nowych środków techniki malarskiej i wskrzesiciel starych, zapomnianych w dzisiejszym malarstwie, wystawił całą kolekcję motywów architektonicznych Florencji, Rzymu i innych miast włoskich. Wysiłki chwalebne tego sumiennego artysty nie dały rezultatów doniosłych: w tych niewielkich fragmentach ulic i gmachów dominujące barwy ciemne są jakby przesycone sadzą, wskutek czego nie czujemy w tych mrokach *zgasłego światła.* Są to ciekawe eksperymenty kolorowania akwafort — ale nie wiem, czy p J. jest ze swych farb zadowolony na razie.

Antoniego Gawińskiego fantazje kolorystyczne (dwa „panneau decoratif" i „Pieśń poranna") mają rozmach i dążenie do wywołania wrażenia harmonji zapomocą barw mocnych a pokrewnych co do ciepła i natężenia koloru; za najlepszą pracę uważam panneau ze sceną tańca, w antycznym stylu.

Kompozycje fantastyczne przedstawiają się wogóle w „Odłamie" dość słabo—*signum temporis.* „Kain" i „Wizja" Kazimierza Purzyckiego, w sposobie ujęcia tematu przypominają Stucka; technicznie — poprawne. Wawrzeniecki nadesłał z wielką, jak zwykle, plastyką i wiedzą archeologiczną malowanego „Swiatowida", „Grobowiec wodza" i zbyt literacką kompozycję, zatytułową cierpko: „Za życia jeść nie dadzą, po śmierci kadzą". Jestem przeciwnikiem literackości w malarstwie — więc mimo wybitnych zalet pędzla Wawrzenieckiego, nie mogę do takich tematów nabrać przekonania. Kędzierski dał świetne „Koguty" i „Fantazje łowickie".

Nader interesująco przedstawia się dorobek Jana Skotnickiego: obrazy jego (zwłaszcza pejzaże zimowe) mają charakter litografji barwnych, co nas nie zdziwi,gdy obejrzymy bardzo obfity zbiór prac graficznych młodego artysty, wystawionych w „Odłamie". Akwaforta i litografja są ulubionym środkiem artystycznym Skotnickiego. Romuald Witkowski przetrawia już wpływy Cezanne'a i Matisse'a na swój sposób („Hjacynt") i nadaje swym zuchwałym kolorystycznym studjom piętno własne — objaw, który z uznaniem podkreślić należy.

Pisząc o wystawie dorocznej, zaznaczałem chwalebną dążność do stylu i dyskrecję efektów barwnych w pracach p. Marji Mrozowskiej; wystawione obecnie piękne „Anemony" oraz pełen charakteru dekoracyjnego i powyższych zalet typowych pędzla p. M. portret starszej kobiety umacniają jeszcze moją opinję o wartości prac tej artystki. Nie widzę natomiast wybitnego postępu w portretach p. Koźniewskiej. Lenc dał pyszną w charakterystyce osób portretowanych (zwłaszcza „mistrza od bębna") „Fanfarę". Żmurko — jeszcze jeden akt kobiecy, jak zawsze rozkoszny, leniwy i w bronzowej toni zatopiony.

Portrety Augustynowicza bardzo są soczyste

i kolorowe, a wyborne w ekspresji wyrazu i technice — Wyczółkowskiego. Mistrz krakowski wystąpił z bogatą kolekcją prac: składają się na nią niedościgłe w technice pastele i prace graficzne, śród których dominuje nadający się najlepiej do temperamentu tego artysty sposób zw. *vernis mou*, przez W. z brawurą imponującą (Motywy z Połągi, głowy dziewczyn wiejskich) stosowany. Poza Wyczółkowskim z wielkich malarzy krakowskich mamy Jacka Malczewskiego; jego „Tobjasz" przypomina najlepsze dzieła, natomiast „Śmierć", choć pociąga osobliwym, zalotno-cynicznym wyrazem kobiecej wizji, zamykającej znużone powieki mężczyznie, w kolorycie uboższa jest znacznie od „Tobjasza" i „Autoportretu".

Jedną z ozdób wystawy jest potężny, czarem stepowych rozłogów dyszący krajobraz podolski Chełmońskiego: szaro-zielone ostre wysokie trawy, usiane jaskrami — i dal bezkreśna, upajająca. Stary mistrz pokazał znowu lwi pazur.

Grafikę reprezentują, jak już wspomniałem, godnie Wyczółkowski, Jabłczyński, Skotnicki i Wł. Kugler (prace bardzo obiecujące). Efektowny projekt witrażu W. Rzegocińskiego (Sarkofag) byłby piękniejszy przy większej prostocie linji.

Architektura, jak zwykle w Warszawie, nader skąpo reprezentowana. Zaledwie dwa nazwiska: Czesława Przybylskiego, praca więcej technicznego, niż artystycznego charakteru: projekt (nieznacznej) przeróbki Opactwa w Sulejowie na szkołę rolniczą i fantazja architektoniczna Oskara Sosnowskiego, bardzo piękna — przytym zgoła możliwa do zrealizowania, czego nie miały pomysły tego artysty na Dorocznej.

Wystawiony obecnie projekt synagogi ma w sobie imponującą monumentalność i odczucie charakteru tej grozy, jaką tchnie religja Jehowy. Zrealizowany, projekt ten przysporzyłby każdej stolicy europejskiej stylowy monument architektoniczny, o pięknie trwałym i przedziwnie jednolitym.

Swan Black.

NOWOŚCI LITERACKIE.

Marceli Sachs: **W pewnym domu**. Fragmenty powieściowe. Lwów 1910. Księgarnia Polska B. Połonieckiego.

Książka Marcelego Sachsa owiana jest głębokim współczuciem dla istot zepchniętych na dno. Ze współczuciem i miłością kreśli autor postać wydziedziczonej Salci, i wszystkie etapy jej miękkiej, niedoświadczonej duszyczki, w której z nadmiaru cierpienia wyrasta powoli nienawiść dla czystych i chęć zemsty. I oto istnienie domu Tracza, w którym jest czysta Hela, odwracająca oczy z odrazą od stojącej w rynsztoku Salci obok „pewnego domu" mści się na tych, którzy śmieją pozostać w swej atmosferze czystości i nigdy nie zejść ku wydziedziczonym. Zaraza zostaje przeszczepiona narzeczonemu Heli, by straszną klątwą zaciężyć odtąd na całym jej życiu.

Młody autor nie opanował jeszcze techniki powieściowej i dlatego to zestawienie, tak dobrze pomyślane, nie uwydatnia się i niknie w całości. Na całych stronicach opisuje autor stany uczuciowe Salci, analizuje je, lecz te analizy psychologiczne, przypominające nam romans francuski, raczej osłabiają, niż potęgują wrażenie. Współczesny powieściopisarz stara się przeżycia uczuciowe nie opisać, nie sklasyfikować, lecz w jednym momencie akcji odsłonić je z całą wyrazistością. Analitycznemu romansowi francuskiemu coraz bardziej przeciwstawia się syntetyczny, skandynawski. Gesty, słowa i czyny powinny same wyjawiać całą treść uczuciową. Im mniej określeń, im mniej analizy, docierającej do najdalszych odcieni, im dyskretniej i wstydliwiej wychyla się życie wewnętrzne z po za zjawy zewnętrznej, tym silniej ono do nas przemawia.

Życzymy autorowi mniej pojęć i uświadomień, więcej wrażeń bezpośrednich.

Savitri

„Wieś w słowie i pieśni". Pod tym sympatycznym tytułem Stowarzyszenie Równouprawienia kobiet polskich urządziło w dniu 27 b. m. wieczór artystyczno literacki na dochód Kruszynka. Podniosły cel przyjścia z pomocą zagrożonej placówce oświatowej i doborowy zespół pierwszorzędnych sił wykonawczych zapełnił szczelnie publicznością wielką salę Filharmonji.

W swych świetnych „Paradoksach—prawdach" które in extenso na czele bieżącego numeru drukujemy, Al. Świętochowski przedstawił syntezę warunków pełnego historycznego życia, którego brak naszemu narodowi, dopóki lud martwą leży bryłą.

Z. Bartkiewicz ze zbytnią niestety nonszalancją odczytał nowelę swą „U wody", Edward Słoński z przejęciem i prostotą wygłosił piękny, pełen szczerego uczucia wiersz „Sąd". Ignacy Grabowski odczytał swą nowelkę „Pożar", artysta teatru Małego, p. Noskowski znakomite opowiadanie ze „Skalnego Podhala" Tetmajera.

Część artystyczna złożona była z utworów na tle sielskim przeważnie osnutych:

Rozpoczął ją „Krakowiak" Żeleńskiego, wykonany przez orkiestrę pod dyrekcją H. Opieńskiego, poczym p. Ordon-Sosnowska pięknie deklamowała „Muzykanta" Konopnickiej, p. Brzeziński odśpiewał „Sołtysa" Moniuszki, a panna Szrejber, młoda skrzypaczka udatnie odegrała utwory Wieniawskiego.

P. Noskowski wygłosił jeszcze „Wiosnę" Lemańskiego. Śpiewem popisywał się z dużym powodzeniem chór „Harfa"—a syte wrażeń artystycznych audytorjum gromkimi oklaskami wyrażało swe zadowolenie z udanego wieczoru.

Poważny rezultat finansowy przyczyni się znacznie do podtrzymania posterunku w Kruszynku, a powodzenie wieczoru, który był manifestacyjnie licznym, daje najlepsze świadectwo uznania, jakim instytucja ta cieszy się w kraju.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* W ślad za *Kulturą Polską*, która w cytowanym już na tym miejscu wezwaniu rzuca wszystkim żywiołom postępowym hasło współdziałania—z kolei *Myśl Niepodległa* (art. *Zjednoczenie Postępowe*) zaznacza dokonany ostatnio pomyślny zwrot w tej dziedzinie.

„Grupy nasze lewicowe — pisze A. Niemojewski — za podstawę porozumienia brały zawsze maximum swoich przekonań a nie minimum. Nie mogły pojąć, że nikt, nigdy i nigdzie nie wchodzi w porozumienie w imię swego maximum... Kto jednak nie szuka sojuszników w imię minimum cech wspólnych i wspólnych interesów, ten zawsze jako odosobniony przegrać musi... U nas więcej energji traciło się na zwalczanie jakiejś lewicowej odmiany, niż prawicy. Z tą błędną i szkodliwą metodą trzeba nareszcie wziąć rozbrat.

Hasło Zjednoczenia Postępowego powinno do nas wszystkich tym bardziej trafić, że wyszło od zespołu, rozporządzającego prawną organizacją. Zjednoczenie Postępowe, rozporządzając tym ważnym środkiem, postępuje bardzo lojalnie, jeżeli do słabszych rękę wyciąga... W dwuch ważnych punktach ujrzano konieczność wspólnego działania: w kwestji żydowskiej i w kwestji zakusów klerykalizmu. Te dwa punkty rodzą braci: konieczność wzajemnej obrony naszych wysileń kulturalnych i oświatowych.

My wszyscy jesteśmy poprostu obowiązani bronić wzajemnie swych kulturalnych placówek. *Obowiązani jesteśmy wiedzieć o sobie. Obowiązani jesteśmy wspierać się.* To nastroi nas względem siebie ufnie. Nauczymy się współdziałać... Solidarnego działania ludzie najlepiej uczą się w robocie. Gdy spory programowe zawsze nas dzieliły, robota nas złączy„.

* *Kurjer Poranny* podkreśla również zmianę na lepsze w obozie postępowym. W artykule „Wśród nowej orjentacji" czytamy:

Przesilenie martwego doktrynerstwa w traktowaniu kwestji żydowskiej i zajęcie wobec niej krytycznego przedmiotowego stanowiska, a z drugiej strony silne wstrząśnienie, jakie w masach ludności wiejskiej wywołała afera Kruszynka, i ogólna dążność emancypacja ludu, zrzucającego z siebie powijaki bezwzględnej bierności duchowej, wytworzyły naturalną orjentację wśród naszych postępowców w kierunku wytężenia energji ku dźwignięciu kultury polskiej z jasno określoną dyrektywą. Dyrektywę tę określa Niemojewski jako pęd ku rozwinięciu w Polakach ducha przedsiębiorczości, samodzielności i samostarczalności, zmysłu organizacyjnego i śmiałości do życia; pęd ten wymaga przedewszystkim wspólnej opieki i obrony przed różnostronnym naporem wszelakiej reakcji i wiecznie powracającym napływem fal swojego i obcego obskurantyzmu. Należy serdecznie pragnąć aby optymizm *Myśli Niepodległej* okazał się zupełnie uzasadniony i aby wytworzył się wprędce wielki obóz wolności duchowej ludu polskiego, oparty o szerokie masy i zespolony w imię miłości ojczyzny i zgodnego dążenia do przepojenia jej światłem demokratycznej cywilizacji współczesnej.

Pierwszym warunkiem jednak, aby nas ten optymizm nie zawiódł, musi być stanowcza, lojalna i dobra wola zajścia na grunt owego programu, który Niemojewski nazywa minimalnym, a który właściwiej możnaby nazwać pierwiastkowym.

* Bojowy *pean* żargonowego litwactwa powołał do wtórego życia *Izraelitę*. Pierwszy numer tego pożytecznego pisma zawiera na miejscu naczelnym zwięzłe i po męsku skreślone *credo*:

Tu, na łamach naszego pisma, walczyć będziemy energicznie z tym wszystkim, co staje w poprzek polskim dążeniom obywatelskim, natomiast wszelkimi siłami popierać będziemy to wszystko, co dąży do uspołecznienia żydów i co wyzwala ich z więzów odrębności obyczajowej, z ciemnoty i fanatyzmu.

Nawoływanie do czynów obywatelskich, zaszczepianie kultury polskiej wśród żydów, powiadamianie ogółu o prądach nurtujących śród żydowskich mas i o stanie kwestji żydowskiej we wszystkich dziedzinach życia społecznego — oto nasze zadanie.

Nie stanowimy żadnego stronnictwa politycznego. Grupujące się wokół naszego pisma jednostki wyznają różne poglądy społeczno-polityczne, lecz dłoń sobie szczerze podały, aby razem i solidarnie pracować w kierunku asymilacyjnym.

Stać będziemy wytrwale i niezachwianie na naszym stanowisku. Wierzymy gorąco, że w szerokich sferach społeczeństwa znajdziemy poparcie naszych usiłowań.

* Kalifornijski korespondent *Gońca* z uznaniem podnosi metamorfozy imigrantów-żydów na tamtejszym gruncie:

Niema tu lepszych i bardziej rzekomo amerykańskich obywateli, jak żydzi. Rzeczywiście miasta Kalifornji pełne są izraelitów i w sobotę sklepów zamkniętych więcej, niż otwartych, a że w niedzielę muszą być zamknięte wszystkie, więc świętują dwa dni w tygodniu. Trzeba też widzieć, jak dowcipnie umieją uchodzić za Szkotów pur sang: taki pan Makowski przyjechawszy do Stanów, pisze się Mac-Cuskey, Murawski zaś Muraskey, Oppenheim — Openhime i t. p.

A swoją drogą sfery zbliżone do *Gońca* nie pominą nigdy okazji wytknięcia spolszczonym żydom tych samych cech, które wyglądają ponętnie... pod amerykańskim niebem.

* *Dziennik Powszechny* zamieścił niedawno następujący telegram:

PARYŻ (Nabożeństwa wielkanocne). Jak corocznie, także i w czasie ubiegłych świąt Zmartwychwstania Pańskiego we wszystkich paryskich świątyniach odbyły się uroczyste nabożeństwa gromadzące tłumy wiernych katolików, których niezdolne były zachwiać w wierze rzekome prawdy masonów i socjalistów, jako też świeżo nawróconych, którzy, widząc wobec ostatniej strasznej powodzi całą bezsilność rozumu ludzkiego, powrócili na łono Kościoła katolickiego.

Klerykaliści powinni modlić się dniami i nocami, aby niebo zsyłało na ojczyznę najsroższe klęski: pomór, zalew, pożogi, trzęsienie ziemi, głód i wojnę, bo, jak się okazuje, tylko te silne środki działają na umysły ludzkie w kierunku pożądanym. Maluczko, a stanie się religja patentowanym na cały świat *przedsiębiorstwem eksploatacji nieszczęścia...*

* *Goniec* z dn. 22 zamieszcza następującą notatkę:

Niezmiernie ciekawa jest ostatnia statystyka majątków cerkiewnych. Aleksandro-Newska ławra w Petersburgu posiada w gotowiźnie trzy miljony rubli, nie licząc papierów procentowych, stanowiących jej właściwe bogactwo. Kapitał ławry Peczerskiej w Kijowie obliczają na półtora miljarda rubli. Najbogatsza jest jednak Troicko-Sergiewska ławra pod Moskwą. Ogólny kapitał nietykalny wszystkich klasztorów rosyjskich dosięga olbrzymiej cyfry siedmiu miljardów rubli.

KRONIKA.

MAREK TWAIN. Znakomity humorysta amerykański, Marek Twain zakończył życie. Samuel Langhorne Clemens, znany w literaturze pod pseudonimem Marka Twaina, urodził się w r. 1835 we Florydzie. Początkowo pracował jako młody chłopiec w zawodzie drukarskim, następnie przez czas pewien był marynarzem na Missisipi, odbył liczne podróże po Ameryce i Europie. Swą karjerę literacką rozpoczął od redagowania jednego z pism w Nowym Jorku. W tym czasie zaczął pisywać powieści i opowiadania, tryskające humorem czysto amerykańskim, opartym na niezmąconym optymizmie życiowym. Utwory Twaina zdobyły mu wkrótce popularność w ojczyźnie i poza jej granicami. Zawsze pogodny w stosunku do życia autor „Przygód Toma Samyera", „Szkiców z nad Missisipi" „Włóczęgi zagranicą" i wielu innych tomów opowiadań dożył sędziwego wieku, ciesząc się ogromną popularnością; zmarł, syt sławy i dostatku. Wiele z jego humoresek przełożone zostało na różne języki europejskie — mamy niektóre i w przekładzie polskim.

KARY PRASOWE w ciągu ubiegłego miesiąca marca st. st. uczyniły — wedle wiadomości gazety *Riecz* — ogółem rb. 6,200.

Skazane były dzienniki następujące: *Nowoje Wiecze* — na rb. 500, *Pridnieprowskaja Myśl* — rb. 300 *Kijewskija Wiesti* — rb. 300. *Nowyj Głos* — rb. 1,000, *Nasze Słowo* — rb. 300, *Russkoje Słowo* — rb. 500,

Odesskoje Obozrienje — rb. 500, *Wołożkij Wiestnik* — rb. 200, *Wiestnik Urała* — rb. 500, *Bakinskaja Gazieta* — rb. 50, *Wieczerniaja Zorka* — rb. 50, *Sibirskaja Zizń* — rb. 500, *Ogni* — rb. 200, *Gazeta Częstochowska* — rb 300, *Nowaja Ruś* — rb. 100, *Russkoje Znamia* — rb. 500, *Rahva Piaevaleht* — rb. 100.

Prócz tego w Wilnie zamknięto wyrokiem sądowym redakcję *Gońca Wileńskiego*, w Baku zawieszono gazetę *Wieczerniaja Zaria*, w Petersburgu zaś — gazetę łotewską *Warpas*.

Ogółem w ciągu trzech pierwszych miesięcy st. st. r. b. redakcje pism skazano na rb. 13,000 grzywien.

Do tego dołączyć można szereg represji, takich, jak w Ekaterynosławiu, gdzie zamknięto związki zawodowe pracowników przedsiębiorstw zbożowych i węglowych oraz Związek buchalterów i subjektów w Marjupolu. W Łodzi zamknięto związki metalowców, pracowników drzewnych i piekarzy. W gub. Symbirskiej zamknięto związki pracowników drukarskich, służby domowej, metalowców, pracowników przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych, związki zawodowe krawców i szewców. W Odesie zamknięto polską organizację oświatową „Dom Polski". W Rewlu zamknięto 10 związków zawodowych. W Saratowie wreszcie wzbroniono zgromadzenia się zrzeszenia lokatorów i T-stwa sanitarnego, jakie na posiedzeniach łącznych omówić miały sprawę pijaństwa.

KARA ZA WYDRUKOWANIE MOWY DUMSKIEJ. *Russkoje Słowo* donosi, że redaktorowie wychodzącej w Tomsku gazety *Sibirskije Wiesti* — Chobotow i Malinowski, skazani zostali na 500 rb. grzywien z zamianą na trzymiesięczny areszt, za umieszczenie w redagowanej przez nich gazecie mowy posła Makłakowa w Dumie.

BUNT W WIĘZIENIU PŁOCKIM. *Gazeta Kujawska* podaje następujące szczegóły buntu w więzieniu płockim, jaki się wydarzył przed kilku dniami:

W więzieniu nowym odsiadują karę skazani na bezterminową „katorgę", przysłani z innych miejscowości. Skazańcy okuci siedzą po dwuch w celi. Otóż w jednej zaczęli oni pukać, ażeby im otworzono drzwi. Gdy dozorca to uczynił, został uderzony ręcznymi kajdanami w głowę i jednocześnie przyciśnięty do żelaznej poręczy. Drugi zaś więzień odebrał mu klucze i rewolwer, oraz momentalnie pootwierał drzwi w innych celach. Wyszło 11 więźniów i ci rzucili się na nadbiegłych dozorców, obezwładnili ich, poodbierali rewolwery i pałasze i zaczęli strzelaninę. Na strzały nadbiegła warta, złożona z kilkunastu żołnierzy i naczelnik więzienia z dozorcami. Wobec przewagi wojska i braku naboi, więźniowie skapitulowali; osadzono więc ich w tak zwanej ciemnej celi. Okazało się, że wszyscy więźniowie zdjęli z nóg i rąk kajdany. Znaleziono nadto 6 noży w rodzaju szewckich. Jeden tylko dozorca, uderzony w głowę kajdanami, odniósł lekkie skaleczenie.

SPRAWA BOROWSKA-HAECKER. Według doniesienia *Naprzodu* krakowskiego, redaktor tegoż pisma, p. Haecker, wniósł zażalenie nieważności przeciw wyrokowi, mocą którego został w procesie z Borowską skazany na miesiąc aresztu. Najwyższy trybunał kasacyjny w Wiedniu, na skutek tego zażalenia, wyznaczył termin nowego procesu na dz. 14 maja.

LOSY WIĘŹNIÓW. Gazeta *Rossija* zamieściła świeżo olbrzymi, liczący prawie 1,500 wierszy artykuł o „rzekomym ucisku więźniów w więzieniach rosyjskich".

W artykule tym *Rossija* polemizuje z autorami interpelacji w Dumie państwowej i z artykułami w prasie rosyjskiej i zagranicznej w sprawie teroru, jaki jest stosowany w więzieniach w państwie rosyjskim.

W szczególności drobiazgowo roztrząsane są oskarżenia, wytoczone przeciw więzieniom rosyjskim w głośnej broszurze Kropotkina „La terreur en Russie" i w artykule Kautsky'ego, zamieszczonym w „Humanité".

COFNIĘCIE ZAKAZU Warszawski komitet do spraw prasowych pozwolił obecnie na wystawienie w języku polskim sztuki p. J. Waksmana p. t. „Żydowski bohater". Sztuka ta p. n. „Berek Joselowicz" została przed kilku tygodniami zabroniona przez główny zarząd do spraw prasowych.

ZAKAZ UŻYWANIA JĘZYKA POLSKIEGO. Niedawno z głębi Rosji przybyły do Piotrkowa prezes izby skarbowej, jak donoszą do *Kur. Zagł.*, zabronił jaknajsurowiej podległym mu urzędnikom porozumiewania się po polsku tak między sobą, jak i w stosunku z interesantami.

POMNIK CHOPINA. Według wiadomości nadeszłych z Petersburga, wydział architektoniczny ministerjum spraw wewnętrznych nie zatwierdził planu budowy pomnika Chopina w parku Ujazdowskim, według projektu Wacława Szymanowskiego.

NOWY SPRZEDAWCZYK. *Kurjer Poznański* pisze: Podaliśmy przed kilku dniami za *Gazetą Polską*, że pan Laurentowski zamierza sprzedać swój folwark Szczodrochowo w powiecie śremskim Niemcowi.

Sprzedaż ta jest już obecnie faktem dokonanym. Pan Laurentowski otrzymał za morgę grubo, bo 570 mk. Piękny ten obszar ziemi kupił Niemiec Scholz z Dalabuszek. Pan Laurentowski wydzierżawił od księcia Radziwiłła folwark Radziwiłłów w powiecie odolanowskim.

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD WYCHODŹCAMI nie wyszło dotąd z okresu organizacyjnego. Drugie walne zebranie poświęcono debatom, czy zmniejszyć składkę członkowską — co znaczny odłam członków uważał za konieczne dla zdemokratyzowania towarzystwa i zachęcenia do udziału w nim wiejskich nauczycieli. Przeciwnicy tego poglądu sądzili jednak, że zaszkodzi to stronie finansowej instytucji, wobec czego utrzymał się kompromisowy wniosek, aby składki członkom zwyczajnym nie obniżać, a natomiast ustanowić w każdym powiecie po kilku członków korespondentów, nie opłacających składek, lecz pracą swą na miejscu popierających cele towarzystwa. Kategorję członków współpracowników ze składką dwurublową odrzucono, żeby nie weszły do Towarzystwa żywioły „niepożądane", dzięki którym Tow., jak zaznaczył ks. prałat Szelążek utraciłby mogło popularność u duchowieństwa i obywateli.

OFIARY.

Na Wyższe Kursy Handlowe w Warszawie składki od następujących pracowników T-wa Nikopol. Mariupolskiego w Sartanie: L. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, C. Padarewski kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, A. Prokopowicz kop. 50, L. Czaykowski rb. 1. Ogółem rb. 51.

Na szkołę w Kruszynku, z Kijowa: Karol Wilkoszewski rb. 10, W. M. Gałecki rb. 3, Stanisław Wolski rb. 3, Aureli Lasocki rb. 1, Samson Kostecki rb. 1, K. Ch. rb. 1, Romuald Krzyżanowski rb. 5, Michał Bukowski rb. 3, J. A. rb. 1. Razem rb. 28.

Pamięci Adama Lubiemickiego rb. 15 od W. M. Hulanickich.

Bartoszewicz kop. 30, Waręski rb. 5, Albert Klimpel rb. 10.

Od. K. Rozwadowskiego z g. Irkuckiej na znak realnego protestu przeciw zakusom kleru rb. 25 jako ofiarę, łącząc się z tymi, których ideałem jest szkoła wolna od religijnego przymusu, co znieprawia umysł i charakter.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.